PRZEGLĄD WIELKOPOLSKI



ROK II — 1946

CZERWIEC — NR 6

PRZEGLĄD WIELKOPOLSKI

MIESIĘCZNIK REGIONALNY

pod redakcją

DR. ZDZISŁAWA GROTA i DR. WINCENTEGO OSTROWSKIEGO

SPIS RZECZY:

Kierownictwo graficzne: Marian Romała

Sekretarz Redakcji: mgr Zofia Ostrowska

Wydawca: Jan Jachowski, Poznań, Zygmunta Augusta 1. — Nakładca: Księgarnia Akademicka, spółdzielnia z odp. udziałami, Poznań, Zygmunta Augusta 1. — Adres Redakcji: Poznań, Lubeckiego 22, m. 2. —

Adres Administracji: Poznań, Zygmunta Augusta 1.

PKO V-242. Właściciel konta: Księgarnia Akademicka, sp. z odp. udz. Konto czekowe nr 44 w banku „Społem" — Oddział w Poznaniu.

2917 — VI. 46. 2000 — K - 14140

Tłoczono w Drukarni św. Wojciecha pod Zarządem Państwowym w Poznaniu.

PRZEGLĄD WIELKOPOLSKI

MIESIĘCZNIK REGIONALNY

POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM KULTURY WIELKOPOLSKIEJ W PRZESZŁOŚCI I W CHWILI OBECNEJ

Rok II Poznań, czerwiec 1946 r. Nr 6

Dr Kazimierz Tymieniecki.
Prof. Uniwersytetu Poznańskiego.

LĘDZICZE (LECHICI) CZYLI WIELKOPOLSKA W WIEKU IX.

Zagadka początkowych dziejów polskiego narodu od bardzo dawnego czasu zajmowała ludzi zagłębiających się w książki i badających zabytki, budząc niejednokrotnie także głośne echo wśród szerokiego ogółu. Na swój sposób starali się dać odpowiedź na to pytanie już kronikarze średniowieczni. Ale środki, którymi rozporządzali były nie wystarczające. Początki naszego piśmiennictwa historycznego powstały dopiero z końcem w. XI i początkiem w. XII, a więc w półtora stulecia po wprowadzeniu do Polski chrześcijaństwa. Okres czasu dzielący ten moment od powstania państwa polskiego był przypuszczalnie dłuższy. Co więc mogli wiedzieć nasi kronikarze o początkowych dziejach narodu? Jedynie to co przetrwało w ustnej tradycji zmieniającej się szybko. W trudniej sytuacji znajdowalibyśmy się dzisiaj, gdyby nam wypadło odtwarzać czasy Napoleona I z ustnej opowieści. Średniowieczne nasze kroniki, od tzw. Galla Anonima aż do Długosza, pozostawiły nam tylko legendę o pierwiastkowych dziejach narodu polskiego[1]). W legendzie zaś, choć nie jedno może nas żywiej zająć, nie odnajdziemy z pewnością wiernego obrazu minionej rzeczywistości. Pomocą w pewnych wypadkach mogą nam służyć świadectwa obce, pochodzące od narodów wcześniej rozwijających swe własne piśmiennictwo. Znaczenie tych świadectw, o ile przetrwały one do nas, jest wielkie. Ale wydobycie z nich odpowiedzi na interesujące nas pytania nie jest łatwe. Obcy poświęcali większą uwagę naszym dziejom dopiero od chwili, gdy dla nich samych nabierały one doniosłego znaczenia. Przed tym odnajdujemy często tylko same okruchy. Nic więc dziwnego, że nauka zajmująca się początkami naszych dziejów zmuszona jest do zestawiania ze sobą śladów mocno różnego nieraz pochodzenia i charakteru. Wiele pola do dowolnego wysnuwania wniosków powstaje zawsze

wtedy, gdy zajmujący się odleglejszą przeszłością idzie za pierwszą nasuwającą się umysłową asocjacją bez podjęcia próby jej sprawdzenia. Ofiarą takiego postępowania padali nie tylko dawni kronikarze, ale i późniejsi pisarze historyczni. Na połączenia zaś takie czyli asocjacje wpływała często aktualna współczesność. Dlatego legenda jest najczęściej obrazem własnych upodobań i wyobrażeń. Mimo swego pozornego bogactwa szczegółów, w gruncie rzeczy później dodanych, nie zastąpi ona obrazu rzeczywistego. Dla bogactwa zaś i barwności opowiadania nie poświęcimy prawdy. Jedynym wyjściem było więc doskonalenie samego sposobu badań czyli metody naukowej.

W badaniach nad początkami państwa i narodu polskiego szczególną rolę odgrywała przez długi czas legenda o Lechitach. Tak się już złożyło, że sami kronikarze średniowieczni upodobali sobie tę nazwę, gdy zamierzali podać jakąś opowieść szczególnie zajmującą ale równie nieprawdopodobną. Pierwszym był na tym polu niezmiernie uczony ale nie wyrzekający się efektów pisarskich Mistrz Wincenty, krakowski biskup i potem zakonnik cysterski w Jędrzejowie, piszący swą kronikę w sto lat po rozpoczęciu się naszego pisarstwa historycznego, a za nim poszli wszyscy następni kronikarze. Dlaczego tę nazwę tak właśnie sobie upodobali? Prawdopodobnie dlatego, że nie była już wówczas w potocznym obiegu, a więc jak wszelka nazwa archaiczna nadawała się bardziej do wszelkich niezwykłych zestawień. W ślady średniowiecznych kronikarzy poszli następnie, czyniąc to zresztą w innym duchu i rozumieniu w zależności od spółczesnego stanu oświaty, pisarze późniejsi, a zwłaszcza z w. XVIII i pierwszej połowy XIX. Z niezmiernie licznymi a nie uzasadnionymi teoriami o Lechitach rozprawił się dopiero krytycznie w drugiej połowie w. XIV znakomity uczony, z Wielkopolski się wywodzący, a mianowicie Antoni Małecki[2]). Dopiero po usunięciu tych „gruzów" trzeba było zacząć na nowo budować. Uczynił to w szczególności Karol Potkański[3]). Od jego uczonej, na historycznych i językowych wywodach opartej, rozprawy zagadnienie nazwy i znaczenia Lechitów na nowych zostało oparte podstawach. Niewątpliwym było jedynie, że nazwa ta oznaczała samych tylko Polaków. Używana przez kronikarzy w sensie już bardziej uczonym a nie potocznym była natomiast dobrze znana i taką pozostaje jeszcze dzisiaj u szeregu sąsiednich narodów. Nic innego bowiem nie oznacza nazwa ruska Lach, bądź litewska Lenkas (też łotewska), czy wreszcie węgierska Lengyel (czytaj Lendjel). Wszystkie te nazwy są bardzo stare. O Lachach pisze wielokrotnie najstarsza kronika kijowska czyli tzw. Nestor. Nie używały też innej nazwy pozostałe latopisy ruskie. Czy Litwini przejęli swą nazwę od Rusi nie jest rzeczą pewną. Forma litewska wskazuje raczej na samodzielne źródło. W formie węgierskiej wi-

doczny jest też dźwięk nosowy, który tylko z Polski wprost a nie z Rusi, gdzie go w ogóle nie było, mogli Węgrzy przejąć. Zna nazwę tę już źródło węgierskie ze schyłku w. XII. Daje nawet jej własną etymologię, tłumacząc węgierską nazwę Polaków jako „najlepszych wojowników". Wynikało to z błędnego zestawienia z węgierskim „legeny" oznaczającym towarzysza albo wojaka, gdy tymczasem źródłosłowu tej nazwy należy oczywiście szukać w języku słowiańskim. Wreszcie ta sama nazwa naszego narodu zawędrowała w wiekach średnich do południowych Słowian w brzmieniu Ledianin, którą przydaje rocznik chorwacki naszemu Władysławowi Warneńczykowi w roku objęcia przez niego władzy na Węgrzech (1440). Znana była na południu już w w. XIII, odnosząc się w tym wypadku do Bolesława Wstydliwego krakowskiego lub Bolesława Pobożnego wielkopolskiego, którzy przez małżeństwa węgierskie weszli w koligacje również bałkańskie. Pośrednictwo węgierskie w przejęciu samej nazwy jest więc bardzo prawdopodobne. Tą samą drogą przeniknęło również do Konstantynopola i znane jest pisarzowi bizantyńskiemu Kinnamosowi z w. XII. W pieśniach serbskich nazwa ludu Ledian przetrwała do czasów nowszych, ale w języku potocznym już się nie zachowała. Jakie było więc polskie brzmienie tej nazwy? W związku ze śladami nosówki u paru ludów ościennych miała ona formę Lęchowie. Uczona a nie potoczna forma „lechitów" była już formą zlatynizowaną. Interesujące są formy pochodne, jak w ziemi „ladzkiej", znane ze źródeł ruskich z początku w. XIII. Mówiono też w Lęsiech tj. w kraju Lęchów. Temat sam rdzennie słowiański brzmiał l a d z dodaniem suffiksu ch z twardym jerem na końcu. Dla porównania można przytoczyć wyrazy takie jak brach, swach, Stach lub Czech z Czesława, choć w tym wypadku ma miejsce już zatrata nazalizmu. Starosłowiańska lędina oznaczała ziemię nieuprawną, ląd w polskim, któremu w innych językach słowiańskich odpowiadały lada i leda. Wszystkie występowały często w nazwach miejscowych. W średniowiecznej nazwie południowo-słowiańskiej pozostał by ślad przymiotnika formowanego od Lęcha w postaci „ladiśki". Znaczenie samej nazwy wytłumaczył już Władysław Nehring, znakomity slawista wrocławski, a więc tyle co Polak tj. mieszkaniec równin, odłogów, pastwisk, pól etc. Ale już w w. XIII—XIV znaczenie tej nazwy było zapomniane. Więc kronikarz śląski, pochodzenia prawdopodobnie niemieckiego, łączył nazwę Lechów z niemieckim listig, chytry. Podobnie zresztą jak nazwę Polaka jeden z kronikarzy łacińskich próbował wytłumaczyć od nazwy łacińskiej bieguna północnego. Dorobiono też do Lechów eponima, a więc bohatera, który nadał swe imię narodowi. Legenda o Lechu była dopiero wytworem w XIV, a ten który ją opowiedział, tj. kronikarz wielkopolski, wzorował się prawdopodobnie na kronikarstwie

czeskim znającym już od dawna „ojca Czecha". W potocznym użyciu nazwa Lęchów wyszła już wówczas z obiegu. Ale to nie dowodzi, że nie była ona starą tubylczą nazwą i że należy ją uznać za filiację ruską (Potkański).

W formie zupełnie typowej wystąpiła ta nazwa już w źródłach najdawniejszych, a więc w okresie gdy nie stała się jeszcze nazwą wyłącznie uczoną. Tym źródłem był tzw. Geograf Bawarski, pochodzący z epoki o sto lat wcześniejszej od najstarszych wiadomości o pierwszym chrześcijańskim Piaście i zarazem twórcy wielkiego państwa narodowego, Mieszku I. Nazwa ta występuje tam w formie „Lendizi" a więc w wymowie słowiańskiej Lędzicze lub Lędzianie. Pierwsza z tych form wydaje się nam odpowiedniejszą nawet. Wiadomo, że Słowianie bardzo chętnie używali nazw patronimicznych czyli ojczycowych. Formę tę stosowali również do nazw pochodzenia topograficznego, jak właśnie w tym wypadku. Uwzględnienie tej nazwy przez językoznawców ułatwi przypuszczalnie wytłumaczenie nazw węgierskiej, litewskiej czy nawet ruskiej. A nawet w stosunku do przypuszczalnego polskiego Lęcha stanowi ona postać dawniejszą i podstawową, gdy Lęch był by już tylko pochodnym a to w formie przetworzonej i zdrobnionej (według typu brach, swach etc.). Nas jednak interesuje tutaj strona historyczna zagadnienia. W nauce polskiej najstaranniej zajął się powyższym zabytkiem lwowski profesor Stanisław Zakrzewski[4]). Dostrzegł on w istocie związek między nazwą „Lendizi" a Lachami-Lęchami w samym źródłosłowie. Byliby to więc Polacy, których tu „poznajemy od strony granic wschodnich". Ale w tym ostatnim właśnie się mylił. A tym bardziej był w błędzie, gdy szukał ich na terenie Rusi Czerwonej. Jak wiele nazw szczepowych słowiańskich tak i ta mogła się powtarzać u Słowian w różnych częściach ich rozsiedlenia. Znani na Rusi u pisarza greckiego (Konstantego Porfirogenety) „Lenzaninoi" mogli być Polanami kijowskimi, ale nic za tym nie przemawia, ażeby ich szukać na Rusi Czerwonej. Lędzicze zaś wymienieni u Geografa bawarskiego byli Polanami zachodnimi nad Wartą a nie Polanami wschodnimi nad Dnieprem[5]). Dlaczego Zakrzewski nie wpadł na to najprostsze, zdawało by się, rozwiązanie? Zwiodło go w tym wypadku przekonanie o kolejności, według z góry ułożonego planu, wyliczonych w pomniku ludów. Tymczasem taka kolejność występuje tylko w części pierwszej źródła, gdzie są wyliczone ludy, bezpośrednio graniczące z państwem frankońskim na zachodzie i z państwem wschodniorzymskim na południu. W tym wypadku posuwał się mianowicie autor zabytku z północnego zachodu na południowy wschód. W części drugiej, przechodząc do ludów mniej

sobie znanych, kolejności tej nie zachowywał. Brak zupełnie podstaw do wyodrębnienia trzeciego pasa zaczynającego się od Pyrzycan i Wieluńczan na Pomorzu Zachodnim, jak to czynił właśnie Zakrzewski. Całą treść zabytku możemy podzielić tylko na dwie a nie na trzy części, gdyż pozwala na to sama redakcja tekstu, przeprowadzająca wyraźne rozróżnienie między częścią pierwszą i drugą. W drugiej części nie ma zupełnie systematycznego układu charakteryzującego część pierwszą. Najwyżej wyliczane są grupy nazw pobliskich, co pozwala w istocie na zorientowanie się w sąsiedztwie poszczególnych ludów. Brak jednak systematyzacji całej obszernej tej części. Kolejność nazw nie wskazuje na trzymanie się tego samego kierunku z północnego zachodu na południowy wschód, jak w części pierwszej mniej obszernej. Przeciwnie nawet kierunek geograficzny w wyliczaniu nazw ludów wyraźnie się zmienia a na to można przytoczyć wiele przykładów z pośród nazw nie budzących wątpliwości w ich identyfikacji. A więc po Wiślanach nad górną Wisłą idą dopiero Ślęzanie a jeszcze po nich Dziadoszyce z dolnego Śląska. W tym wypadku autor jak by się trzymał kierunku przeciwnego niż początkowo, tj. z południowego wschodu na północny zachód. Ale górnośląscy Opolanie znaleźli się dopiero po tamtych, czyli że ścisła kolejność nie została tu zachowana. Zobaczymy, że nazwy te stanowią jednak grupę sąsiednią. W związku z tym przyjrzyjmy się najbliższemu sąsiedztwu naszych Lędziczów. Nazwy poprzedzające nic nam, jak się zdaje, nie powiedzą. Weźmy dla przykładu dwie ostatnie. Aturezanów prawdopodobnie szukać należy daleko na południu. Czy aż za Dunajem, można wątpić, gdyż nasze źródło wylicza tylko ludy na północ od Dunaju mieszkające. Mógł to być jeden z szczepów turskich lub ugro-fińskich, na co i sama nazwa zdaje się wskazywać. Następujących po nich Chozirozów, bezpośrednio poprzedzających Lędziczów, szukano i w Dalmacji (J. Lelewel), choć jest to sprzeczne z założeniem źródła, nie wychodzącego na południe od Dunaju i też na Rusi (Szafarzyk) lub na Węgrzech (Zakrzewski). W zestawieniu z jeszcze poprzednimi nazwami, jak w szczególności siedmiogrodzkimi Neriuani (czytaj Nerywani), to ostatnie rozwiązanie jest najbardziej prawdopodobne. W związku z paroma jeszcze ludami tamże wymienionymi stanowią powyższe szczepy wyraźnie grupę południową, zbliżoną do Dunaju. Ale potem opis przenosi nas na północ.

Lędzicze są właśnie pierwszą nazwą z tej grupy. W dalszym ciągu spotykamy już szereg szczepów z północnego zachodu i nawet bezpośrednio dotykających Bałtyku, a tylko dwie najbliższe po Lędziczach nazwy są dotąd nie wyjaśnione. Tym ostatnim spróbujmy się przyjrzeć nieco bliżej. Najbliższa po Lędziczach nazwa „Thafnezi" wygląda dość zagadkowo. Próbowano ich zestawić z nazwą rzeki Tanwi dopływu

Sanu (Szafarzyk). Ale tak językowych jak i geograficznych argumentów brak tu całkowicie. Wobec tego nasuwa się inna możliwość. Na północ od Wielkopolski, jako przypuszczalnej siedziby Lędziczów, znajduje się ziemia drawska z grodem Drawskiem, późniejszym Drachimem, na czele nad jeziorem Drawsko, z którego wypływa ku zachodowi, zwracając się następnie na południe, rzeka Drawa. Nazwa ziemi drawskiej (późniejszej drachimskiej) jest niewątpliwie starsza i powszechniejsza od nazwy ziemi czaplińskiej od mniej znacznego Czaplinka nad tymże jeziorem Drawskiem ku połudn. wschodowi położonego. Polska nazwa Drawsko w dokumentach średniowiecznych, prawdopodobnie spod pióra niemieckiego pisarza pochodzących, występuje jako Traheim (z r. 1433). Wszystko to przemawia za tym, że nie wyjaśnieni dotąd „Thafnezi" są to poprostu Drawczanie od rzeki, jeziora i najstarszego grodu (nazwa niemiecka Alt-Draheim) wywodzący swą nazwę. Dalszą z kolei nazwą w opisie są „Zeriuani" (czyt. Zerywani). Wraz z Drawczanami przekroczyliśmy Noteć w kierunku północno-zachodnim. Następnie z kolei jest ziemia Zwierzyńska, na środkowym jeszcze Pomorzu, ale już bardziej ku zachodowi wysunięta. Należy ją oczywiście odróżniać od paru innych ziem zwierzyńskich a w szczególności od obodryckiej z późniejszym meklemburskim Zwierzynem — Schwerinem związanej, którą już wcześniej w naszym opisie odnajdujemy (Zuireani, czyt. Zwireani tj. Zwierzynianie). Nazwa pomorskiej ziemi zwierzyńskiej, wywodząca się od miejscowości Zwierzyno nad górną Okrzeją płynącą ku Bałtykowi, może być mniej dokładnie oddana przez obcego pisarza aniżeli nazwa obodryckiej, ale znając trudności wyrażenia przez Niemca czy innego cudzoziemca głosowni słowiańskiej, nie powinno nas to dziwić, a tak samo o konsekwencji w pisowni nikt wówczas nie myślał. Samo Zwierzyno nie ma tak starej metryki jak Drawsko lub Zwierzyn obodrycki, ale nazwa ziemi zwierzyńskiej była w użyciu. Wprowadza ją też do swego atlasu ks. Stan. Kozierowski. Położenie ziemi zwierzyńskiej doskonale za to odpowiada kolejności wyliczenia nazw w tej grupie. Bez Zwierzynian powstała by w tej części Pomorza widoczna luka, gdyż dalej zaczyna się już Pomorze nadodrzańskie. Trudność stanowić może jedynie wzmianka w opisie, że z tej właśnie ziemi wywodzą swe początki wszystkie szczepy słowiańskie. Dlatego też w odróżnieniu od zaniedbywanej ziemi drawskiej, tej aż zbyt wiele znaczenia starano się przypisać, nie mogąc jednak bliżej wskazać gdzie by to ta kolebka słowiańska dała się odnaleźć. Wzmiaka o szczepach słowiańskich, a w opisie nie same tylko szczepy słowiańskie są uwzględnione, wskazuje mimo wszystko na to, że ziemi tej nie należy szukać gdzieś daleko na wschodzie, gdzie szczepy ugro-fińskie i turskie miały przewagę. Autor opisu znał lepiej Słowian między Łabą i Odrą i wiedział

o nich, że przyszli z kraju dalej na wschód położonego. Tam właśnie na środkowym Pomorzu dopatrywał się ich dawniejszej siedziby. Następny szczep, wymieniony przez Geografa, byli to dobrze już znani Pyrzycanie nad dolną Odrą, nie dochodząc jednak jeszcze do zatoki Odrzańskiej. Zachowali oni swą odrębność plemienną aż do początków w. XII, gdy z ramienia Bolesława Krzywoustego nawracał ich św. Otto. Ostatnim wreszcie szczepen słowiańskim w tej grupie byli nadmorscy Wieluńczanie od grodu Wieluniec, czyli Wołyń na wyspie tej samej nazwy, tak jak poprzedni od grodu Pyrzyc. W tym czasie Pyrzycanie i Wieluńczanie dorównywali sobie liczbą posiadanych grodów a przypuszczalnie i mnogością zaludnienia, gdy poprzednio wymienione szczepy dalszego Pomorza były liczniejsze. Najświetniejsza przyszłość czekała Wieluńczan, do czego przyczyniało się obronne położenie nad morzem, a także korzyści gospodarcze stąd płynące.

W wyliczeniu całej grupy powyższej od Lędziczów do Wieluńczan występuje wyraźna kolejność, ale tym razem w kierunku północno-zachodnim. Plemion wschodniopomorskich autor pomnika już nie wylicza bądź dlatego że ich nie znał, bądź też że były one związane z plemionami środkowo-pomorskimi. W dalszym ciągu przechodzi wprost do mieszkających za Wisłą i jeziorem Drużnem Prusów. O tych bliższych wiadomości już nie posiadał prócz jedynie tej, jak daleko był ich kraj od granic państwa frankońskiego. Nie wie w szczególności nic o plemionach pruskich, których, jak jeszcze dużo później, było wiele. W kolejności Prusów po plemionach pomorskich jest niewątpliwie pewien sens. Naturalnym jest również, że w dalszym ciągu zagłębia się w ludy mieszkające na wschodzie. Wystąpiły tam ludy o nazwach historycznych jak Chazarzy (Caziri) i Węgrzy, wówczas jeszcze gdzieś za Dnieprem, należący do grupy ugro-fińskiej. Wystąpiła Ruś i szereg ludów wschodniosłowiańskich. Ale później znów zwrócił się autor na zachód. Jak poprzednio wyliczył grupę pomorską na północ z odchyleniem ku zachodowi od Lędziczów się znajdująca, tak w ostatniej części pomnika wylicza grupę ludów mieszkających na południe i południowy wschód do tychże Lędziczów. W odrębie natomiast tej grupy brak zupełnie określonej kolejności geograficznej. Najliczniej wystąpiła grupa śląska wraz z sąsiednimi szczepami wschodnich Łużyc. Są to mianowicie Ślęzanie nad rzeką Ślęza, tj. na środkowym Śląsku dokoła Wrocławia. Z północy sąsiadowali z nimi Dziadoszyce na Śląsku Dolnym, których nazwa przetrwała w każdym razie wcielenie do państwa polskiego, jak to wiemy jeszcze z pierwszych lat w. XI. Od południa mieszkali natomiast Opolanie, w grodzie Opolu posiadający swoje centrum polityczne. Prócz nazwy Śląska, która etapami objęła w następnym okresie inne plemiona z nad górnego biegu Odry, nazwa Opola jako nie tylko grodu ale i kraju

utrzymała się najdłużej, gdyż aż do w. XIV. W kierunku Moraw przejściowe stanowisko zajmowali Gołężycanie na dzisiejszym Śląsku opawskim. Kraj ten, który następnie silniej się związał z Morawami, w początkach był raczej z plemionami śląskimi związany. Milczanie na północnym zachodzie byli już bliżsi Łużyczanom. Natomiast nie wielkie plemię Bieżuńczan nad rzeczką Bierawą i dalej ku Oświęcimowi, a więc na południowym wschodzie, stanowili już przejście od dorzecza Odry, do której wpada Bierawa, ku dorzeczu górnej Wisły. Pomijając więc nawet Milczan, jako wychodzących poza granice późniejszego historycznego Śląska, autor opisu wyliczył sześć plemion śląskich. A pozostają jeszcze dwie zagadkowe nazwy, a mianowicie „Fraganeo" i „Lupiglaa". Pierwsi nie mogą być Prażanami, gdyż tam mieszkali Czesi, znani również naszemu opisowi i uwzględnieni w pierwszej jego części zgodnie z ogólnym planem. Niektórzy (Keltsch) próbowali ich odnaleźć na wschodnim brzegu Odry, mianowicie na południe od ziemi lubuskiej. Drudzy mieszkali być może nad rzeczką Łupią, dopływem Nissy.

Wiadomości Geografa o wszystkich plemionach tej grupy były dość dokładne, a w związku z tym podawał liczbę posiadanych przez nich grodów. Byłaby w tym analogia do plemion pomorskich. Jedne i drugie bardziej wysunięte ku zachodowi znajdowały się jeszcze w zasięgu jego dokładniejszych relacji. Nie czynił tego z reguły, gdy chodziło o ludy mieszkające dalej na wschodzie, chociażby te nosiły nawet głośne nazwy i zajmowały wielkie przestrzenie. Dalszym ciągiem grupy południowo-zachodniej późniejszego obszaru Polski, czyli grupy plemion śląskich, byli Wiślanie nad górną Wisłą mieszkający. Jest to jedyny ze szczepów polskich, o którym posiadamy dwie inne współczesne wiadomości, a mianowicie w opisie Germanii króla anglosaskiego Alfreda, będącym przeróbką z dawniejszego Orozjusza i w legendzie pannońskiej, czyli żywocie św. Metodego pochodzenia grecko-słowiańskiego. Geograf bawarski nie miał jednak bliższych danych o Wiślanach, skoro nie podał liczby ich grodów. W grupie rozpatrywanej obecnie wymienieni zostali oni na początku podobnie jak w poprzedniej Lędzicze. Wyliczono więc ich zaraz po ludach dalej na wschód czy na południe mieszkających. Trudno powiedzieć jak daleko na wschód sięgali Wiślanie. Jeżeli ośrodkami ich były Kraków i Wiślica, to jednak i Sandomierz znajdował się w ich zasięgu. O puszczy lubelskiej za Wisłą trudno tutaj coś powiedzieć. Geograf nie zna w każdym razie już żadnego plemienia na terytorium polskim w kierunku Rusi. Słabsze zaludnienie lubelszczyzny, prócz najwyżej samego prawego brzegu Wisły, da się stwierdzić jeszcze w początkach w. XIV. Z punktu widzenia Lędziczów i ich bliższych i nieco dalszych sąsiadów sprawa ta nie dotyczy nas zresztą bezpośrednio. Na północ od Wiślan, czyli późniejszych Krako-

wian wraz z Sandomierzanami, wiadomości Geografa są znowu obfitsze. Mieszkali tu Wierczanie nad górną Wartą, czyli późniejsi Sieradzanie. Nazwa sama (w pomniku Verizane) nie ma oczywiście nic wspólnego z terytorium dalej ku północy leżącym, w szczególności Pomorzem nadwiślańskim, którego w tej grupie Geograf absolutnie nie mógł uwzględnić. Dotyczy zaś wymienionego właśnie obszaru nad Wartą — z geograficznych względów wynika, że górną — skoro przymiotnik od Warty jest wiercki (por. miasto Zawiercie, tj. za Wartą leżące) i lud nad Wartą, w tym wypadku górną, nie mógł się inaczej nazywać jak właśnie Wierczanie. Tym śmielej Łężyców (w źródle Lunsizi), wymienionych nieco wcześniej, między Ślęzanami i Dziadoszycami, uważać będziemy jako mieszkańców wielkich łęgów nad Nurem i Bzurą, czyli późniejszych Łęczycan. W obu wypadkach, Wierczan i Łężyców, Geograf wymienia również liczby grodów przez nich posiadanych, tak jak przy plemionach grupy śląskiej i grupy pomorskiej, a także przy Lędziczach. W ten sposób dokończyliśmy opisu całej zachodniej Polski, prócz jeszcze Lędziczów. Dalej na wschód i północny wschód Geograf nie wymienia plemion polskich. W szczególności zdaje się nic nie wiedzieć o plemionach, niewątpliwie nie jednym lecz wielu, w kraju tak rozległym jak późniejsze Mazowsze po obu stronach Wisły, a włączając w to przynależną początkowo do Mazowsza ziemię Radomską aż do Łysogór, czyli środkowych gór polskich. To samo dotyczy, jak widzieliśmy, wschodniego Pomorza nad dolną Wisłą położonego. Nie wymienia również oddzielnie Kujaw, o których wspomnimy jeszcze za chwilę. Mapa Polski plemiennej z w. IX wykazuje więc duże nierównomierności między częścią zachodnią i wschodnią. Dla części wschodniej wszelkie rozpaczliwe próby wypełnienia tej mapy zawodzą, zwłaszcza że stawianie nie uzasadnionych zupełnie przypuszczeń, przykładem czego mogą być prace E. Kucharskiego[6]), zawodzą. Bardziej więc rozsądną rzeczą będzie w tym wypadku pozostawienie na mapie tej odległej epoki białej plamy, podobnie jak to czynili geografowie w. XIX dla środkowej Afryki przed jej spenetrowaniem przez podróżników europejskich. Ale inaczej jest z częścią zachodnią późniejszej Polski piastowskiej.

Pozostawienie tutaj i to w samym środku tych ziem wielkiej białej plamy dla obszarów Wielkopolski niczym nie dało by się uzasadnić. Względy językowe przemawiają za tożsamością Lędziczów i Polan nad Wartą środkową a to samo stwierdzają również dane geograficzne. Jak wynika z poprzedniego przeglądu, Wielkopolska była otoczona właściwie ze wszystkich stron przez plemiona znane dość dobrze Geografowi. Pominięcie jednej tylko centralnej ziemi nad Wartą jest wprost nie do pomyślenia. Dopiero gdy Lędziczów zgodnie z dawnymi językowymi uznamy za późniejszych Wielkopolan, ta nie dająca się niczym wytłu-

maczyć luka zostanie wypełniona. Lędzicze nad środkową Wartą stanowią istotnie mocny człon łączący pomiędzy grupą pomorską a śląsko-krakowsko-sieradzko-łęczycką, używając w tym wypadku nazw epoki późniejszej. Z sąsiedztw Wielkopolski brak tylko w wyliczeniu Geografa najbliższych Kujaw. Ale zagadka ta tłumaczy się łatwo, jeżeli weźmiemy pod uwagę szczególnie bliskie zrośnięcie się tego kraju z Wielkopolską w znaczeniu geograficznym. Żadna przeszkoda naturalna nie oddziela Kujaw od Wielkopolski. Brak tutaj było nawet większych skupień leśnych na pograniczu, jak np. między Śląskiem środkowym i Górnym, czyli ziemiami Ślęzan i Opolan, nie mówiąc już o puszczach oddzielających plemiona pomorskie od Wielkopolski. Prócz tego Kujawy wraz z ciążącymi do nich ziemiami dobrzyńską i chełmińską nie stanowiły nigdy jednolitej całości geograficznej. Leżąc na niskim i niezmiernie łatwym do przebycia dziale wodnym Noteci—Warty i dalej w dorzeczu Wisły środkowo-dolnej, były naturalnym jakby pomostem dla rozszerzania się Lędziczów wielkopolskich. Tak jak obszar Wiślan na południu rozszerzał się ku wschodowi, tak również terytorium Lędziczów obejmowało przynajmniej bliższe Kujawy. Niezmiernie bliskie zrośnięcie się okolic Gopła i Kruszwicy z Gnieznem i Poznaniem w dziejach i tradycji czasów późniejszych jest tego również pośrednim dowodem. Obszar zaś przez Lędziczów zajmowany musiał być znaczny. Dowodzi tego liczba 98 grodów wymienionych przez Geografa. Nie były to oczywiście wszystkie grody Wielkopolski, gdyż tych szczegółowe badania archeologów prehistorii i protohistorii, jak w szczególności Wład. Kowalenki, odnajdują znacznie więcej. Były to grody znaczniejsze, jak temu odpowiada sam termin łaciński użyty przez Geografa w tym wypadku, tj. „civitates" a nie „castra". Liczba zaś 98 „miast", gdyż tak należałoby tłumaczyć „civitates" jest nawet o 3 wyższa, aniżeli całego związku weleckiego, według danych tegoż samego naszego Geografa, a więc związku obejmującego cztery kraje (regiones), zamieszkiwane przez cztery główne plemiona federacji znane dobrze z czasów późniejszych (Redarów, Doleńców, Czrezpienian i Chyżan). Obszar zajmowany przez Lędziczów, obejmujący właściwą Wielkopolskę późniejszą wraz z częścią Kujaw (nad Gopłem), nie ustępował w każdym razie rozległością terytorium związku weleckiego, lecz raczej je przewyższał. A tak samo i zagęszczenie ludności nie było tutaj mniejsze niż w wielu obszarach między Łabą i Odrą, a było z pewnością większe niż w ziemiach dalej na wschód położonych. W tym wypadku dane czerpane z samego Geografa nie wystarczają, gdyż widoczne u niego zagęszczenie grodów na zachodzie możnaby też tłumaczyć lepszymi informacjami autora dla tych terenów, ale to samo wynika z licznych danych późniejszych. Dalsze dzieje polityczne, kościelne i gospodarcze rozgrywały się w części

zachodniej obszaru etnicznego polskiego, jak to wynika z kronik i dokumentów. Tu też musiały być główne skupienia ludności. Wśród Słowian między Łabą i Odrą, jak z tegoż Geografa wynika, panowało przekonanie, że przybyli oni z poza tej drugiej rzeki. Ale kraj, z którym pamięć o tym była zachowana, nie leżał daleko za Odrą, a w każdym razie znajdował się jeszcze w zasięgu dokładniejszych wiadomości Geografa, którego liczbę grodów dokładnie podaje, mając tutaj na myśli, jak widzieliśmy, obszary Pomorza środkowego.

O znaczeniu Wielkopolski i jej głównych grodów, jak Gniezna i Poznania, i to nie tylko w w. X ale także w wieku w każdym razie poprzednim, a więc w interesującym nas w tej chwili w. IX, mamy stosunkowo obfite dane z wykopalisk prowadzonych przez prof. J. Kostrzewskiego i jego współpracowników. Pozostałości materialne, wydobywane z ziemi przez naszych prehistoryków, są oczywiście również źródłami historycznymi czyli śladami, jakie przeszłość po sobie pozostawiła. Siła ich dowodowa jest nawet bardzo znaczna. To, co się dochowało materialnie, nie może być wytworem niczyjej fantazji, jak to się zdarza ze szczegółami przechowanymi przez ustną tradycję. Prócz tego liczba i różnorodność tych materialnych śladów przeszłości wciąż wzrasta dzięki wykopaliskom. Ale są to źródła nie „mówiące", a więc nie mogące nam przekazać nazw i faktów jednorazowych, dających się opowiedzieć. „Mówiącymi" są tylko źródła historyczne, przekazane w piśmie, a więc intelektualnie i obok tych mniej ważkie z ustnej tradycji a wskutek tego podlegające ciągłym zmianom. Liczba źródeł piśmiennych niestety nie wzrasta już dla czasów najdawniejszych, to znaczy że wszystkie są już znane i udostępnione, ale w rozumieniu ich i w głębszym wniknięciu możliwy jest wciąż dalszy postęp. Relacja Geografa z pewnością zasługuje na najdokładniejsze i najbardziej wszechstronne rozpatrzenie. Pewna ilość nazw nie dość zrozumiałych nie może nas zrazić. Możliwość zniekształceń, nawet daleko posuniętych, przytoczonych nazw w szeregu wypadków niewątpliwie zachodzi. Trudność interpretacji polega również na tym, że szereg nazw znanych i używanych w w. IX następnie wyszło z użycia. Dotyczy to właśnie nazw plemiennych, które miały znacznie mniejszą trwałość aniżeli nazwy rzek i nawet miejscowości. Plemiona, jako twory polityczne, podlegały daleko idącym przemianom, albo znikały zupełnie z widowni. Świat plemienny, na krótko przed powstaniem wielkiego państwa narodowego, cechuje nawet ta właśnie nietrwałość. Mimo to wiele z tych nazw znajduje potwierdzenie w czasach późniejszych. Dotyczy to nawet tych plemion, które weszły już na stałe w skład państwa polskiego. Ale prócz nazw również inne dane przytoczone przez Geografa można sprawdzić w źródłach późniejszych, jak wiadomości o ustroju Obodrytów, Weletów czy Serbów łużyckich,

a to zwiększa bardzo znacznie ufność w jego zasadniczą wiarygodność. Wielką wagę ma zwłaszcza wczesna data powstania tego źródła. Wprawdzie dochowany rękopis jest kopią z w. XI, jak o tym świadczy pismo, ale sam pomnik powstał w obrębie w. IX. W chwili pisania pomnika nie było jeszcze między Morawami i Bułgarią późniejszych Węgier. Przybycie Węgrów na samym schyłku w. IX jest więc szczególnie doniosłe dla datacji pomnika. Zauważono również (Zakrzewski), że Morawy nie odgrywają jeszcze wówczas doniosłej roli, a to wskazuje nawet na pierwszą połowę w. IX. Geograf, pochodzący z południa Niemiec — prawdopodobnie z kół duchowieństwa przy kościele św. Emmerama w Ratyzbonie — byłby więc starszy tak od Alfreda jak i legendy pannońskiej. Wymienieni przez niego Lędzicze nie występują w dwu innych źródłach jak Wiślanie. Ale rola Polan w w. X postuluje ich polityczne istnienie w wieku poprzednim.

---

[1]) Por. nasz artykuł o „Polskiej legendzie średniowiecznej" w czasopiśmie „Przeszłość". Poznań 1935, nr 4.

[2]) Lechici w świetle historycznej krytyki, Lwów 1893.

[3]) Lachowie i Lechici, Kraków 1898. Rozpr. Ak. Umiej., wydz. filolog., t. 27.

[4]) Opis grodów i terytoriów z północnej strony Dunaju, czyli tzw. Geograf Bawarski. Arch. Nauk,. Lwów 1917. — Dawniejszej literatury nie cytujemy.

[5]) Przyjmowaliśmy tak w „Społeczeństwie Słowian lechickich" (Lwów 1928), str. 159. Na tym gruncie stanął też prof. F. Bujak, pisząc o Lendzianach-Lechach w referacie pt. „Ustrój Polski w XI wieku". Sprawozdania Polsk. Akad. Umiej., styczeń—maj 1945 r., str. 70.

[6]) Zapiska karolińska, zwana niewłaściwie Geografem Bawarskim. Sprawozd. Tow. Nauk. we Lwowie V, str. 81—86. Por. Z. Wojciechowskiego, Ustrój polityczny ziem polskich w czasach przedpiastowskich. Pamiętnik Hist.-Prawny, t. IV, z. 2. Lwów 1927, str. 5—17, gdzie rozbiór wniosków E. Kucharskiego.

Dr Józef Jan Bossowski
Prof. Uniwersytetu Poznańskiego.

ZAKŁADNICY MIASTA POZNANIA W R. 1939

Zaczęto brać zakładników w dniu 11 września 1939 w godzinach południowych, kilkanaście godzin po ukazaniu się pierwszych mundurów niemieckich na ulicach miasta. Zabierano ich z mieszkań i zwożono samochodami osobowymi (po jednemu) do ratusza, gdzie umieszczono ich w tzw. złotej sali starego budynku ratuszowego. Zwożenie trwało przez cały dzień. Ponieważ odbywało się (jakkolwiek z pewnymi odchyleniami) w porządku alfabetycznym nazwisk, nasuwało się przypuszczenie, że była zgóry przygotowana lista i to lista dawniej już ułożona, gdyż poszukiwano jako zakładników także takie osoby, które już nie żyły. Do zakładników doszła wiadomość, iż zażądano desygnowania zakładników od prezydenta miasta Ratajskiego, czemu odmówił oświadczając, że mógłby jedynie siebie proponować. Prawdopodobnie proponowali nazwiska przedstawiciele „Niemieckiego Związku w Polsce". Późnym wieczorem przyszedł do złotej sali Kurt Lück (zamieszkały w Polsce niemiecki historyk i etnolog, jak się okazało, agent rządu niemieckiego) i odczytał nazwiska zakładników. Rozeszła się wiadomość, że zamierzone jest przewiezienie zakładników do więzienia dla pospolitych przestępców przy ul. Młyńskiej. Odwrócił to swą interwencją prezydent Ratajski przedstawiając niemieckiemu generałowi, iż wystarczy zabezpieczenie osób zakładników dla ewentualnej roli, jaką im władze niemieckie przeznaczają (według rozplakatowanych w mieście ogłoszeń miano rozstrzelać dziesięciu zakładników w razie jakiegokolwiek zamachu na wojsko lub osoby narodowości niemieckiej), a dalsze rygory są niepotrzebne. Wobec tego pozostali zakładnicy w budynku ratusza, a prezydent Ratajski uzyskał ponadto, że na koszt miasta zakładnicy otrzymywali pożywienie z polskiej restauracji w podziemiach ratusza. Szczególnie przykry był dzień następny, gdy wojsko niemieckie odbierało ratusz, a Stary Rynek huczał niemieckimi okrzykami radości i śpiewami dzieci zwożonych na ten dzień do Poznania. Tego dnia odebrano władzę prezydentowi Ratajskiemu. Zakładnicy dowiedzieli się o tym stąd, że oficer, który szukał prezydenta, aby uzyskać od niego jakieś informacje, mówił o nim „Stadtpräsident a. D." Przez pierwsze trzy noce trzeba było spać jak się dało: siedząc na krześle z głową na stole albo na dwu zestawionych krzesłach lub też leżąc na podłodze. Po trzech dniach nadeszły łóżka i sienniki dzięki staraniom p. Adama Poszwińskiego (straconego potem na forcie VII), któremu prezydent Ratajski zlecił funkcje łącznika między zakładnikami i czynnikami

niemieckimi. Wobec tego p. Poszwiński miał pokój w ratuszu i opiekował się zakładnikami. Narażało go to na przykrości ze strony niemieckiej, lecz te go nie zrażały. Gdy było spodziewane dostawienie partii zakładników w późnej porze, zostawał na noc w budynku, aby z miejsca zająć się dostawionymi.

Rozdział lokali był taki, że złota sala była miejscem pobytu dziennego dla wszystkich i tam spała większość, sąsiednia mała sala (należąca do biblioteki miejskiej) była zajęta na łóżka (sypiano tam na zmiany, często zestawiano dwa łóżka, aby w środku mogła się zmieścić jeszcze jedna osoba, choć było to miejsce na kancie), w złotej sali łóżek nie było, tylko sienniki względnie materace na podłodze. Polscy pracownicy biblioteki miejskiej wypożyczali zakładnikom książki, lecz rychło tego zakazano.

W małej sali, przez którą był dostęp do złotej sali z korytarza (byłv tam poprzednio portrety prezydentów miasta), osadzono straż. Zmieniano ją co kilka dni. Straż nie miała informacji, że pilnuje zakładników, przypuszczała, że to przestępcy. Gdy notariusz Nowosielski wyszedł w nocy — nie mogąc spać — z sypialni, spotkał się z uwagą żołnierza, że pewnie wyrzuty sumienia spać mu nie dają, i z zapytaniem jakiego przestępstwa się dopuścił. Ponieważ nie było stałych przepisów, każda nowa straż tworzyła sobie przepisy porządkowe odmienne od dotychczasowych. Ubikacje sanitarne znajdowały się na korytarzu (gdzie także była placówka straży), więc trzeba było przechodzić przez przylegający do złotej sali pokój straży i tu był teren autorytatywnej dowolności. Czasem straż pozwalała udać się na korytarz po jednemu, czasem uzależniała pozwolenie od utworzenia grupy złożonej z trzech osób. Na stole w pokoju straży ustawiono pistolet maszynowy z wylotem zwróconym na złotą salę. W nocy straż wchodziła do sal i liczyła, czy są wszyscy. Nie było to każdej nocy, lecz dość często. Zakazano wychodzić na ganek, przylegający do złotej sali od strony wschodniej (od ulicy Wielkiej).

Pierwszy komendant (nazwiskiem Liedkemayer, jeżeli pamięć nie zawodzi) przeszedł po krótkim czasie do innego zajęcia. Następcą jego był major Sendmann. Wówczas kurs zmienił się na gorszy, przykrzejszy i złośliwy. Komendant urządzał apele, które były przykre zarówno ze względu na swój przebieg, jak i na to, że trzeba było stać bez ruchu parę godzin lub dłużej, co niektórych zakładników (np. prof. Padlewskiego, który miał powyżej 70-ciu lat) wyraźnie męczyło. Jeden apel był zorganizowany szczególnie uroczyście, bo zjawiła się nań komisja, w której obok komendanta brał udział jakiś młodszy Niemiec w mundurze (podobno prawnik), starszy siwy (podobno radca sądu wojsko-

wego) i lekarz. Zaczęło się od przemówienia komendanta, z którego było widać, że pragnie odegrać pewną rolę polityczną. Przemówienie wyliczało wszelkie rzekome zawinienia polskie wobec Niemców, a groźby mieszały się z zapowiedziami, że Niemcy nie popełnią obecnie tych błędów, jakie popełnili w poprzedniej wojnie, że będą sprawiedliwi, lecz twardzi i nieugięci. Potem zaczęło się kolejne przesłuchiwanie zakładników, które było oczywiście zupełnie bezcelowe, a służyło komendantowi jedynie do wypowiadania złośliwych uwag pod adresem poszczególnych zakładników i polskiego społeczeństwa.

Ze szczególną złośliwością spotykali się zakładnicy o niemieckich nazwiskach. Adwokata Nehringa (który zginął potem w obozie w Żabikowie) pytał komendant, za kogo uważał się jego ojciec, dziadek i pradziadek, ażeby stwierdzić, w którym pokoleniu „tkwi zdrada". Na zakończenie komendant oświadczył, że będzie mówił jak mężczyzna do mężczyzn i dlatego musi przypomnieć zakładnikom, w jakim celu ich uwięziono i że może ich spotkać ten sam los co w innych miastach. Charakterystyczne było zajście mniej więcej w tym czasie z notariuszem Nowosielskim. W porze wieczornej weszło do złotej sali dwóch oficerów, prawdopodobnie zwiedzali ratusz. Uczuli się dotknięci tym, że zakładnicy nie wstali, lecz nie skończyło się na naganie. Jeden z nich przystąpił do musztry. Komenderował: „wstać", „usiąść" i tak dwukrotnie. Krzeseł było znacznie mniej aniżeli zakładników, dlatego nie wszyscy mogli usiąść, a notariusz Nowosielski stał na środku sali, krzesła dla niego absolutnie nie było, zwrócił na siebie uwagę olbrzymim wzrostem. Aby go ukarać za niespełnienie rozkazu wojskowego, poprowadzono go bez płaszcza i kapelusza z ratusza na plac Wolności do budynku policyjnego i tam zatrzymano aż do dnia następnego. Gdy w kilka dni później był apel, komendant zaczął gromić notariusza Nowosielskiego, który po wysłuchaniu nagany zapytał, czy może sprawę wyjaśnić. I zwrócił uwagę na to, że wobec małej liczby krzeseł nie tylko on, ale i inni zakładnicy usiąść nie mogli. Na to była charakterystyczna odpowiedź, iż sprawa jest załatwiona. Dalszy wypadek charakterystyczny zaszedł wówczas, gdy w jedną niedzielę rano przyprowadzono trzech księży między nimi ks. Prałata Taczaka z parafii św. Marcina i ks. Dettloffa, prof. historii sztuki w Uniwersytecie Poznańskim. Wszystkim trzem (trzecim był ks. Bączkiewicz) zarzucił komendant, że z kazalnicy podburzali przeciwko Niemcom, na to oświadczył ks. Prałat Taczak, że jako proboszcz największej parafii w Poznaniu zastrzegł dla siebie inne funkcje duszpasterskie, a wygłaszanie kazań zlecił wikariuszom parafii, ks. Dettloff powołał się na to, że jako profesor historii sztuki nie jest czynny w akcji duszpasterskiej, wreszcie ks. Bączkiewicz wskazał na to, że jego zajęcia nie wychodzą poza szkołę, w których

uczył religii. Ponieważ było oczywiste, że informacja komendanta i zarzuty na niej oparte były fałszywe, oświadczył komendant, iż zbada sprawę. Istotnie wkrótce zwolniono ks. Taczaka i ks. Bączkiewicza, natomiast zatrzymano ks. Dettloffa jako profesora.

Zrazu zakładnicy składali się z jednostek w sile wieku lub starszych. Potem ich liczba powiększyła się o grono młodzieży akademickiej. Byli to studenci, którzy — nie będąc objęci mobilizacją — szli za wojskiem, aby dostać broń i mundury. Gdy to ich zawiodło, wracali do Poznania jak który mógł: pieszo lub na rowerach. Niestety zamiast jechać prosto do swych domów rodzinnych, poszli do nowego domu akademickiego, aby zabrać tam swą ciepłą bieliznę i ubrania. Przypuszczali, że portier będzie mógł im w tym dopomóc. W budynku było już wojsko niemieckie, studentów aresztowano, a po paru dniach odstawiono do ratusza jako zakładników. Sytuacja ich o tyle była gorsza niż innych zakładników, iż komendant zapowiedział z góry, że nie będą mogli być zwalniani na krótkie jednodniowe urlopy, które inni zakładnicy mogli otrzymywać po podpisaniu deklaracji, iż w razie niezgłoszenia się podlegają karze śmierci. Zdarzało się, że właśnie w nocy, którą zakładnik spędzał w domu, dokonywano u niego rewizji. Prawdopodobnie przypuszczano, że będzie można przyłapać Polaków na kontaktach dających powód do dalszych represji.

Prof. Winiarskiego sprowadzono jako zakładnika nie wiedząc o tym, że był swego czasu prezydentem Komisji Likwidacyjnej w Poznaniu. która zmierzała do wykonania postanowień Traktatu Wersalskiego co do usunięcia Niemców z polskiego terytorium. Gdy dowiedziano się o tym, nastąpił wybuch: w złotej sali słychać było już nie krzyk, ale ryk komendanta, iż wie dobrze, jaka była rola prof. Winiarskiego w sprawie niemieckiej.

Ponieważ złota sala była Niemcom potrzebna jako lokal reprezentacyjny, przeniesiono zakładników po kilku tygodniach do budynku prywatnego gimnazjum „Collegium Marianum" przy ul. Różanej. Tam umieszczono ich w pokojach po kilku w jednym, co dawało lepsze warunki niż stłoczenie wszystkich w złotej sali w ratuszu. Ujemną stroną były utrata życzliwej opieki jaką czuło się w ratuszu ze srony pracowników Biblioteki Miejskiej: P. Heleny Retzówny i dra Rolbieckiego (straconego przez Niemców w parę lat później). Pan Adam Poszwiński przeniósł się z zakładnikami na ul. Różaną i opiekował się wszystkimi z niestygnącą gorliwością.

W dniu 13 listopada 1939 zwolniono kilkunastu zakładników, aresztowanych pierwszego dnia, tj. z początkiem września. W tej liczbie był również autor niniejszej notatki, ale zwolnienie było raczej pozorne. O godz. 5-ej po południu zwolniono zakładników, a w trzy godziny

później miał już piszący to wspomnienie w swoim mieszkaniu oficera w żółtym mundurze i czterech żołnierzy. Wręczono drukowany blankiet tej treści, iż całe urządzenie mieszkania ulega konfiskacie i musi pozostać nietknięte dla niemieckiego lokatora. Oficer okazał się fałszywym prorokiem, bo po odebraniu kluczy od mieszkania i zawiadomieniu obecnych, że przewozi ich się do obozu dla wysiedlonych, zaproponował w bardzo uprzejmy sposób piszącemu te słowa, aby oglądnął swoje mieszkanie, i powtórzył to uprzejme zaproszenie jeszcze raz z tym dodatkiem, że ani tego mieszkania ani Poznania w życiu więcej nie zobaczę. Domowników rozdzielono tak, aby nie mogli się porozumieć. O zabraniu nawet najbardziej koniecznych rzeczy w dostatecznej ilości nie było mowy, nawet dwu prześcieradeł nie pozwolono zabrać. Moja żona zdołała uratować mą profesorską togę, co pozwoliło mi reprezentować Uniwersytet Poznański na uroczystej powojennej inauguracji roku akademickiego w Uniwersytecie Jagiellońskim w marcu 1945.

Jakie były dalsze losy uwięzionych zakładników zaczynając od połowy listopada 1939, tego nie mogę podać, bo po kilkutygodniowym pobycie w obozie w Głównej znalazłem się w pierwszym transporcie wysiedlonych. W chwili odjazdu zostały mi dwa wspomnienia: ks. Lewandowski z Sołacza żegnający krzyżem jadących w nieznane i... rakiety puszczane na rozkaz Greisera, aby wiedział, że wielkie dzieło wysiedlenia już się rozpoczęło.

Dr Zdzisław Grot i Dr Wincenty Ostrowski

SZLAKIEM MYŚLI MIESZKOWEJ

Jest czas i chwila, aby wobec budowania nowych zrębów Rzeczypospolitej zbadać i poddać rewizji zagadnienie stolicy Państwa Polskiego. Należy przełamać milczenie, wywołać rzeczową dyskusję i rozpatrzyć zagadnienie to wszechstronnie — rozumnie, sine ira et studio.

Nowe granice Państwa, nowy układ dróg komunikacyjnych, nowa struktura gospodarcza, nowa faza stosunków politycznych i nowa historyczna orientacja polityki polskiej, ogromne wreszcie zniszczenie Warszawy — domagają się tego i narzucają pytanie, czy nie nadszedł czas, aby stolicę Państwa przenieść na powrót z nad Wisły nad Wartę, z Warszawy do Poznania, Kraków czyniąc przy tym metropolią nauki i sztuki de iure, boć był nią i jest do dziś de facto.

Stolica państwa powinna mieć położenie możliwie centralne. Warszawa takie położenie posiadała w okresie przedwojennym, tak jak Poznań i Gniezno, metropolia Kościoła w Polsce, posiadały je w początkach dziejów naszych w dobie orientacji zachodniej, za Mieszka i Bolesława, na których genialnie zakreślonym fundamencie po lat tysiącu odbudowuje naród nasz Rzeczpospolitą.

Sprawdzianem centralnego położenia może być — zgrubsza biorąc — odległość najważniejszych ośrodków życia państwowego, czyli największych miast od danego centrum. Porównajmy odległości głównych miast polskich od Warszawy i Poznania.

Najznaczniejsze miasta Polski	Odległość od Warszawy w linii powietrznej	Odległość od Poznania w linii powietrznej
Gdańsk	ok. 280 km	ok. 250 km
Katowice	„ 250 km	„ 280 km
Kraków	„ 250 km	„ 340 km
Lublin	„ 150 km	„ 400 km
Łódź	„ 120 km	„ 190 km
Szczecin	„ 450 km	„ 200 km
Wrocław	„ 300 km	„ 140 km
Razem:	ok. 1800 km	ok. 1800 km

Widzimy, że położenie Poznania w stosunku do siedmiu największych miast polskich jest w obecnych granicach nie mniej korzystne, niż położenie Warszawy.

Położenie geograficzno-komunikacyjne w obecnym układzie politycznym czyni z Poznania niezwykle ważny węzeł. Leżąc na skrzyżowaniu dróg wiodących z zachodu (od Paryża i Berlina) na wschód (do Moskwy i Leningradu), oraz z południa (od Wiednia, Pragi, Krakowa, Katowic i Wrocławia) na północ (do Szczecina, Olsztyna i Gdańska), znalazł się Poznań równocześnie w samym środku polskich dróg wodnych nad Wartą i łączy się w sposób naturalny z całym dorzeczem Odry, a przez kanały Bydgoski i Warciańsko-Goplański z dorzeczem Wisły.

Z Rosją weszła dziś Polska na mądrą drogę porozumienia i zgody. Ma ona wielką przyszłość, abstrahując od możliwości nieistotnych wahań. Nasilniejsze opory psychiczne do realizacji polityki przyjaźni z Rosją napotykać się będzie niewątpliwie na terenach polskich wschodnich. Najlepszą znajomość Niemców i nieprzejednaną niechęć do niemczyzny napotykamy na terenach Polski zachodniej, a w pierwszym rzędzie (jak to Niemcy w czasie okupacji stwierdzając dokumentowali) w Wielkopolsce. Przykładem choćby ustosunkowanie się Wielkopolski do legionów Józefa Piłsudskiego, które wespół z państwami centralnymi wystąpiły przeciw Rosji. Jeśli przeto nadszedł czas, aby likwidować nasz wrogi stosunek do Rosji, aby odwrócić kierunek polityki do wschodu na zachód, aby zastąpić politykę tzw. jagiellońską polityką tzw. piastowską, wtedy koniecznie oprzeć się należy na Wielkopolsce. Wszak Wielkopolska przez wieki cała kołatała daremnie o taką właśnie politykę piastowską , a tradycja jej i żywotność nigdy tu nie wygasły. Wielkopolska, przez wieki osamotniona w swym dążeniu, nie rozumiana była w tym względzie nawet do ostatnich czasów. Wszak jeszcze krótko przed wojną odrzucony został w Sejmie projekt posłów wielkopolskich, aby zmienić nazwę województwa poznańskiego na wielkopolskie. A przecież projekt ten był wyrazem rozumnej myśli państwowej, bo proponowana przez posłów wielkopolskich nazwa wrażać miała w myśl narodu własnego i świata całego tę prawdę, że ziemia ta, to nie kresy, lecz kolebka narodu i państwa naszego, a może (jak się dziś okazuje) i całego świata słowiańskiego; że ziemia ta była ongiś centrum państwa i być nim w przyszłości powinna. Projekt jednak został odrzucony, ku nieukrywanej w prasie niemieckiej radości. Realizacja polityki zgody z Rosją i czujności w stosunku do Niemców napotykała w przeszłości i napotykać będzie w przyszłości na duże zrozumienie w Wielkopolsce. To ułatwić może rządowi w dużym stopniu jego pracę. Jeśli się chce przeto doprawdy na pewnych podstawach oprzeć politykę porozumienia z Rosją, wtedy przeniesienie stolicy do Poznania oznaczałoby konkretny krok w tym kierunku.

Wspomnijmy jeszcze o działalności badawczej historyków poznańskich i prehistoryków, których uwaga głównie skierowywała się i skie-

rowuje na okres poprzedzający okres budowy Państwa Polskiego i na początki jego rozwoju. Badania te świetnie przygotowały podstawy duchowe do odrodzenia tzw. polityki piastowskiej. Jesteśmy obecnie świadkami, jak zapładniają one fantazję literacką, której twórczość rozprowadzać zaczyna w narodzie staropolskie idee historyczno-polityczne i budzić siły do wielkiego czynu, który jest zadaniem obecnego pokolenia Polaków: do bezpowrotnego wchłonięcia ziem zachodnich do Polski. Działalność ta trwa dalej i stanowić może niezmiernie cenne, niezastąpione wprost oparcie dla obranej linii politycznej narodu polskiego.

W chwili obecnej naczelnym zadaniem polityki naszej jest niewątpliwie pełne wykorzystanie militarnego zwycięstwa nad Niemcami. Odzyskane co dopiero orężem ziemie, leżące wieńcem dokoła starej twierdzy wielkopolskiej, czekają na wypełnienie je życiem i kulturą polską. Czeka nas, a właściwie już toczył się batalia inna, batalia pracy, batalia kultury polskiej i niemieckiej. W walce tej dognać musi Polska i prześcignąć Brandenburczyków, pokonać ich systematyczną, gospodarną, mądrą i wytrwałą pracą i stworzyć dorobek cywilizacyjny i kulturalny bogatszy i piękniejszy, aniżeli ten, który posiadają i stwarzają Niemcy. Jest to zadanie olbrzymie. Od spełnienia jego zależy jednak nasza przyszłość, nasz byt. Zadanie olbrzymie, lecz nie beznadziejne. Tymczasem po drugiej stronie granicy trwa i pracuje już miasto-olbrzym, miasto-moloch, Berlin, złowrogie a potężne ognisko. Mówi się o tym, że Poznań ma być stolicą duchową ziem zachodnich. Piękny to tytuł, lecz tylko tytuł. Cóż warta taka stolica duchowa, na którą nakłada się olbrzymie obowiązki i odpowiedzialność, a która jest miastem o dzielnej wprawdzie i gospodarnej niezwykle ludności, ale bez żadnych atrybucyj i wyposażeń, bez środków, które by w przybliżeniu chociażby porównać się dały ze środkami wroga. Jakże miasto to ma spełnić rolę bastionu, bastionu Polski i Słowiańszczyzny całej, wobec potęgi Berlina? Nigdy w takich warunkach Poznań podjąć nie zdoła tego rodzaju zadań i nigdy w takiej sytuacji nie weźmie odpowiedzialności za przyszłość narodu. O tym naród polski musi już dzisiaj wiedzieć, póki nie jest za późno. Walkę kulturową z prusactwem Poznań podjąć może, walkę niewątpliwie zwycięską, lecz jedynie jako stolica Państwa, wyposażony w przywileje stolicy należne, skupiwszy w sobie całą moc i siłę kultury polskiej.

Rozprawa z Niemcami kulturowa, to sprawa nie tylko Polski, to sprawa Słowiańszczyzny. Dla Słowiańszczyzny Wielkopolska miała zawsze i ma obecnie szczególne zrozumienie. Atawistyczne te uczucia i gotowość współpracy z innymi Słowianami zdaje się być szacowaną i jakże cenną spuścizną idei i uczuć Mieszków, Bolków i Przemysławów. Spuścizna,

która weszła w krew tych potomków Polan, jednoczących plemiona słowiańskie w obronie przed zagładą ze strony Niemców. Rząd, opierając się bezpośrednio na tym instynkcie ludu wielkopolskiego, nie tylko znajdzie oparcie, ale i natchnienie do zbawiennej dla Słowian i Polaków polityki.

Wysunęliśmy momenty, które — zdaniem naszym — muszą mieć dzisiaj decydujące znaczenie w dyskusji nad zagadnieniem stolicy Polski. Inne momenty, które należałoby wogóle poruszyć, pominęliśmy. Sądzimy, że staną się one również przedmiotem dyskusji której zapoczątkowaniu ma służyć niniejszy głos.



K. Wiszniewski — Kolegiata Szamotulska
(do recensji wydawnictw szamotulskich, (patrz str. 187)



Dr Janusz Staszewski

Dr Zdzisław Grot

WSPOMNIENIE O JANUSZU STASZEWSKIM

Pamiętam dobrze ten moment, gdy do naszej zgranej grupy studentów historii na Uniwersytecie Poznańskim doszedł w drugim roku studiów nowy kolega, przybyły z Warszawy, miły, jasny blondyn o żywym usposobieniu i pełen zapału do pracy. Był to Janusz Staszewski, syn Franciszka i Zofii z Orłowskich, urodzony 26 kwietnia 1903 roku w Włocławku. — Rychło zawarłem z nim bliższą znajomość, która niebawem przemieniła się w przyjaźń i odtąd razem wspólne snuliśmy plany na przyszłość, w szczególności w odniesieniu do pracy naukowej. Jeszcze jako studenci zaczęliśmy obaj pisać artykuły do Kuriera Poznańskiego, do słynnego działu Kultury i Sztuki, którego redaktorem był wtedy Witold Noskowski, zamordowany w roku 1939 przez hitlerowców na Forcie VII.

Staszewski już w latach studenckich okazywał szczególne upodobanie do dziejów wojskowości, zwłaszcza doby porozbiorowej, w czym z czasem osiągnąć miał znaczniejsze rezultaty. Jakoż już wówczas na studiach jeszcze, czytał na seminarium historii nowożytnej pracę o powstaniu listopadowym na ziemi kaliskiej zyskując pochwały profesora a z naszej, oczywiście niekompetentnej wtedy strony, koleżeńskie uznanie. Praca ta pt.: Województwo Kaliskie w roku 1830/31 (szkice historyczne) ukazała się następnie drukiem, stanowiąc debiut naukowej twórczości Staszewskiego.

Odtąd, uzyskawszy posadę w Archiwum Państwowym w Poznaniu, rozwinął niezwykle płodną działalność naukową, biegnącą w kilku kierunkach. Najwięcej czasu i wysiłków poświęcił ulubionym studiom wojskowości, przechodząc głównie do epoki napoleońskiej, lubo i powstaniu listopadowemu dochował wierności a nawet poszedł chronologicznie dalej do powstania styczniowego, podobnie zresztą jak z epoki napoleońskiej cofnął się w dalsze czasy, pisząc np. Bitwę pod Trzcianą już pod koniec prawie swego życia (1938).

Lata 1928—1939 są okresem w życiu Staszewskiego najpłodniejszym. Wydał w tym czasie zdumiewającą ilość prac i przyczynków, z których niekóre zdobyły sobie trwalszą wartość. Są to zwłaszcza badania nad dobą napoleońską, której znajomość rozszerzył wydatnie, pomimo że już przed tym pracowali nad nią historycy tej miary co Askenazy, Skałkowski, Kukiel i Bronisław Pawłowski. Wymienić tu wypadnie następujące prace: Wyprawa austriacka na Toruń i Pomorze w 1809 r. (1928). Wojsko Polskie na Pomorzu i pod Gdańskiem w 1807 r. (1933). Walki kawaleryjskie pod Mirem i Romanowem 1812 r. (1934), Wojsko polskie na Śląsku w dobie napoleońskiej (1936). W nich, jak o już poniekąd z samych tytułów wynika, uwzględniał silnie czynnik polityczny współczesny, wykazując ile krwi polskiej polało się o te ziemie prastare polskie, wydarte nam przez chytrego wroga.

Nieco odmienną grupę, lubo również dotyczącą dziejów wojskowości, tworzą biografie kilku znakomitych żołnierzy i dowódców polskich, znów szczególnie z epoki Napoleona. Zajął się autor tym rodzajem badań niewątpliwie pod wpływem A. Skałkowskiego, który w zakresie biografii idąc poniekąd śladami Askenazego stworzył jak gdyby odrębną szkołę. Jakoż wydawnictwo: Życiorysy zasłużonych Polaków wieku XVIII i XIX zainicjowane i prowadzone przez Skałkowskiego w Poznaniu osiągnęło około 40 odrębnych pozycji, co jest miarą rozwoju tego rodzaju studiów.

Staszewskiego studia biograficzne pominąwszy Gen. Edmunda Taczanowskiego (1936) skoncentrowały się na żołnierzach napoleońskich. Do nich należał zarówno Gen. Michał Mycielski (1930) jak i Gen. Dominik Dziewanowski (1933) i Gen. Józef Załuski (1934) i wreszcie Piotr Łagowski, którego pamiętnik o wojnie 1812 roku wydał w roku 1938. Wszystkie te wspomniane biografie posiadają bogaty podkład archiwalny, wydobyty przede wszystkim z archiwów prywatnych, dziś już niestety najczęściej nieistniejących. Przecież nie w tej dziedzinie osięgał rezultaty najlepsze. Jako historyk wojskości nie umiał dostatecznie wniknąć w wewnętrzne dzieje duszy swoich bohaterów, przez

co osobowość ich nie znalazła wszechstronnego uwypuklenia. Wychodziła raczej tylko ich sylwetka zewnętrzna.

Cała owa działalność naukowa, jaką rozwinął Staszewski w ostatnim dziesięcioleciu swego żywota, była wprost zdumiewająco płodna. Aż zrozumieć trudno, jak mógł tyle napisać, skoro nadto ciążyły na nim obowiązki zawodowe i sekretariat „Roczników Historycznych", i częste wyjazdy w sprawach naukowych zagranicę i wreszcie życie towarzyskie, które w domu jego było nader żywo pielęgnowane. Głównym wszak motorem stała się pracowitość, naprawdę niezwykła, entuzjazm nigdy nie słabnący do nauki, wiecznie czynna jego natura a do pewnego stopnia nerwowość usposobienia, będąca równocześnie przyczyną owego pospiechu twórczego.

Obok pracy naukowej dużo czasu poświęcał jeszcze Janusz Staszewski pracy publicystycznej i popularyzatorskiej. Od dni studenckich począwszy aż do zgonu zamieszczał stale artykuły w Kurierze Poznańskim, informując czytelników o ruchu w dziedzinie dziejopisarstwa współczesnego i przypominając im rocznice ważniejszych wydarzeń historycznych. Często miewał odczyty publiczne a przedewszystkim radiowe, które świadczyły o jego zdolnościach popularyzacyjnych i stale cieszyły się dużym powodzeniem. Pisał recenzje do Roczników Historycznych, Kwartalnika Historycznego i innych pism tak naukowych jak i popularnych.

Osobno wspomnieć wypadnie o zasługach Staszewskiego na polu regionalnym Wielkopolski. Zaczął od najbliższego sobie rejonu kaliskiego, zasilając wydawany tam od roku 1930 miesięcznik Ziemia Kaliska wydatnie swoimi artykułami. Z kolei przeszedł na badania regionu poznańskiego, czego wynikiem stały się jego dłuższe lub krótsze prace, publikowane w „Kronice miasta Poznania". Razem zamieścił ich tam 15, rozszerzając znajomość przeszłości Grodu Przemysławowego, zwłaszcza znów pod aspektem historii wojskowości.

Gdy nadszedł czas wielkiej próby dziejowej, ochoczo spełnił swoją powinność. Podczas kiedy inni myśleli tylko o ratowaniu swego życia, on jako żołnierz z poświęceniem szedł śladem bohaterów, których przedtem parokrotnie opisywał. Jakoż w tragicznych dniach wrześniowych życiem przypłacił swój ofiarny patriotyzm, przez co wzniósł się najwyżej.

Osierocił syna Wojciecha i żonę Magdalenę z Przanowskich, która była nie tylko jego wierną towarzyszką życia, ale i pracy naukowej, tak przedwcześnie przerwanej.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Prof. dr Józef Kostrzewski: Prasłowiańszczyzna. Poznań 1946.

Nakładem wielce zasłużonej dla piśmiennictwa naukowego Księgarni Uniwersyteckiej, kierowanej wytrawnie przez J. Jachowskiego ukazała się niedawno pod powyższym tytułem dawno oczekiwana praca znakomitego profesora naszego Uniwersytetu. Na 165 stronach zilustrowanych 68 rycinami i mapkami przedstawił nam autor, w zwięzłym i pięknie opracowanym skrócie, zarys dziejów i kultury Prasłowian. Zagadnienie prakolebki Słowian należy — jak wielu już podkreślało — do najtrudniejszych i najbardziej zawiłych problemów naszej wiedzy. J. Kostrzewski dużą część swej bogatej twórczości naukowej jemu właśnie poświęcił. Do rozwiązania, które w ostatniej pracy nam przedstawił, nie doszedł drogą postawienia łatwej i nieugruntowanej hipotezy. Przeciwnie od 1913 r., gdy w I wydaniu „Wielkopolski w czasach przedhisorycznych" postawił ewentualność słowiańskiej przynależności kultury łużyckiej wielokrotnie i gruntownie z typową dla siebie sumiennością i wytrawną znajomością materiału pogląd swój rewidował. Dla tego też nie odrazu odrzucił mniemanie o niesłowiańskim pochodzeniu kultur okresu lateńskiego i rzymskiego, a zrobił to dopiero wówczas, gdy nowe wykopaliska wykazały, że istnieją nawiązania kultury łużyckiej do kultur młodszych okresów. Ten mozolny i wielki trud przeorania się przez olbrzymią problematykę zagadnienia, znaczony jest nie sugestią, ale znajomością materiału, którego analizę tak świetnie opanował nasz profesor. Tą pracą Józef Kostrzewski zapisał trwale swoje nazwisko wśród pierwszych i najwybitniejszych twórców koncepcji o nadodrzańsko-nadwiślańskiej prakolebce Słowian, która Jemu w głównej mierze zawdzięcza podbudowę archeologiczną.

Praca niniejsza stanowi ostatni wyraz naukowego przemyślenia jej autora. Napisana jest, podobnie, jak wiele innych dzieł prof. Kostrzewskiego, w sposób popularny, jasny i żywy. Tą popularnością jednak w której uderza znakomite opanowanie przedmiotu i łatwe wytłumaczenie najzawilszych kwestii. Dążąc do prawdy nie ukrywa również wpływów germańskich na Słowian oraz przejściowego ich nad nimi panowania. Zjawisko to jednak ujmuje we właściwej skali ich roli, zgodnie z wymową faktów przeddziejowych.

Autor nasz w pracy swej również nie kryje, że jeszcze cały szereg zagadnień wymaga oświetlenia i uzupełnienia drogą dalszych badań. Do niektórych tłumaczeń prof. Kostrzewskiego dodaję dla dyskusji poniższe uwagi. Nazwa Wenedów występuje u Ptolemeusza obok Gotów. Wspólne jej umieszczenie dowodzi — być może — że informator geografa aleksandryjskiego spotkał się z obydwoma ludami. Goci byli już może wóczas w momencie przesuwania się na południe, jakkolwiek zdarzenia tego nie możemy narazie archeologicznie uchwycić. Przeniesienie zaś nazwy Wenedów na dużą część Słowian pochodzi może z jakiegoś w ciągu III — VI wieku również nieuchwytnego dotąd nasunięcia się części Słowian nadmorskich na swoich sąsiadów. Dalszym zagadnieniem jest kwestia ekspansji słowiańskiej w czasie po nar. Chr. i opanowanie przez nią siedzib historycznych. Wiadomo, że dla Czech np. Matiegka usiłował wykazać słowiańskie zasiedlenie od środkowej epoki brązowej, a w czasie wojny uczynił to również Borkowsky. Niestety pracę ostatniego znam tylko z omówienia niemieckiego (Zotz — von Richthoffen, Ist Böhmen — Mähren die Urheimat der Tschechen). Borkowsky, powołując się m. i. na wyniki prof. Kostrzewskiego, wykazuje na podstawie niektórych, dotąd niepublikowanych materiałów, nawiązanie pewnych form naczyń okresu wczesnohistorycznego z ceramiką najmłodszej fazy kultury łużyckiej w Czechach. Oczywiście postawienie to nie wyklucza historycznie poświadczonego, czasowego

zasiedlenia Czech przez plemiona germańskie. Jest rzeczą jednak bardzo możliwą, że pod obcą powłoką mogło się utrzymać stare słowiańskie podłoże. Kto wie czy podobnie nauka nie wypowie się odnośnie Słowian nadłabskich, co zresztą na innym miejscu już podkreślałem. (Przegląd Wielkopolski r. II, s. 122). Prof. Kostrzewski przyjmuje, że „Łużyczanie" żyli w ustroju grodowym, analogicznym do poprzedzającego państwo Mieszki, podzieleni na szereg plemion i szczepów, które dopiero zjednoczyli w jedno państwo „Łużyczanie pomorscy". Myślę, że to zagadnienie da się w przyszłości rozwikłać przez zrekonstruowanie stanu zalesienia owego czasu i powiązanie z nim grodów. Fakt jednak, że niektóre grody położone są wyraźnie na szlakach granicznych jest wskaźnikiem istnienia nie tylko małej grupy, ale większej i to niekoniecznie z uwagi na regionalny charakter, tworzących je zespołów poćwiartowanej. Zdaniem moim grody graniczne są najwyraźniejszym dowodem istnienia władzy państwowej, bo na powstanie ich składał się nie bezpośredni interes budujących, lecz całej grupy. Skoro mowa o grodach to wydaje mi się, że wały kamienne stawiano przy użyciu drewna, które zniszczało (zob. Petersen, Schlesien von der Eiszeit, ryc. 254). Przemawia za tym również występowanie tego typu wałów na Śląsku i Łużycach, a więc na terenach, które najwcześniej zetknęły się z kulturą celtycką. Zapewne też celtyckim sposobem wały te były zbudowane. Odnośnie domieszek używanych do gliny przy wyrabianiu naczyń, to skłonny jestem mniemać, że raczej posługiwanie się gliną, która tego rodzaju domieszkę posiadała (por. S. Miklaszewski, Gleby Polski. Warszawa 1930, s. 332/333) aniżeli sztucznie ją uzyskiwano.

Biorąc pod uwagę kryterium, że mapka zasięgu obejmuje panującą grupę ludności skłonny jestem wypowiedzieć zdanie, że mapka zasięgu Prasłowian w I i II w. po Chr. nie oddaje wiernie rzeczywistości. I dlatego żałować należy, że autor nie pomieścił własnej mapki, odnoszącej się do tego czasu (Prehistoria ziem polskich od mezolitu do okresu wędrówek ludów. Kraków 1939, mapka 14). A teraz drobiazgi. Lżejsze oszczepy, jak się zdaje, używano do rzucania, cięższe zaś włócznie do walki wręcz (Pawlikowski — Cholewa, Heeresgeschichte der Völker Afrikas u. Amerikas. Berlin 1943, s. 111). Na str. 133/4 przestawiono niezrozumiale zdanie, a przez użycie przedwojennej mapki na ryc. 67 wykreślono dawne granice.

Omawiana praca będzie niezastąpionym przewodnikiem wszystkich — pragnących poznać pradzieje naszych przodków, dla pracownika zaś naukowego trwałym i podstawowym oparciem w dalszym rozświetlaniu tego zagadnienia. Oby prof. Kostrzewski z ogromnego skarbca swej wiedzy udostępnił nam więcej tego rodzaju opracowań.

Warto jeszcze zaznaczyć, że książka wydana jest pod względem typograficznym niezwykle starannie przez Państwowe Zakłady Graficzne w Zielonej Górze, a więc na Ziemiach Odzyskanych.

Dr Witold Hensel

Janina Przeworska: Życie ludzi w dawnych wiekach. Warszawa 1946. Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych.

Rzecz pod powyższym tytułem jest pierwszym polskim podręcznikiem prehistorii dla szkoły powszechnej. Autorka nadzwyczaj umiejętnie w sposobie ujęcia zastosowała wzory tego rodzaju opracowań, wprowadzonych dla użytku szkolnego na zachodzie (por. np. K. Geiba, Eine Geschichte aus der jüngeren Steinzeit).

Poruszone zagadnienia są na ogół poprawnie i jasno wytłumaczone. Można było tylko uniknąć pewnych nieścisłości, które niepotrzebnie wkradły się do tego podręcznika. Autorka np. pisząc o grodzie gnieźnieńskim wspomina, że był zbudowany z ziemi, drewna i kamieni, myląc Gniezno z Poznaniem. W Gnieźnie odkryto bowiem typowo drewniany wał. Również wygląd grodu, przedstawiony na rycinie 62 jest zu-

pełną fantazją. Na jednej rycinie pomieszano tu — jak mi się wydaje — cały szereg faz rozwojowych grodów wczesnodziejowych. Niezręczna jest również rekonstrukcja wsi Prasłowian z Buku pod Berlinem (ryc. 55), powtórzona za Kiekebuschem. Należało domy zrekonstruować na podstawie pełniejszych i pewniejszych wyników wykopalisk w Biskupinie.

Piękny narracyjny sposób opisu, umiejętnie — z małymi wyjątkami — dobrane ryciny i za wyjątkiem niektórych szczegółów, poprawnie rozwinięte zagadnienia stanowią niezaprzeczoną i pozytywną wartość nowego podręcznika.

Niemniej jednak od Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych wymagać powinniśmy w przyszłości by podręczniki szkolne były przed wydaniem opiniowane przez odpowiednie fachowe komisje, mogące autorom zwracać uwagę na drobne — jak w danym wypadku, a nie kiedy, jak przed wojną — większe usterki, budzące niepotrzebnie u naszej młodzieży wątpliwości. Ten wysuwany już przed wojną pod adresem tej samej instytucji postulat nie został i obecnie zrealizowany z niewątpliwą szkodą dla poziomu nauczania.

Dr Witold Hensel

Dr Tadeusz Manteuffel: Słowiańszczyzna pierwotna. Kraków 1946 r. Biblioteczka Historyczna Nr 1.

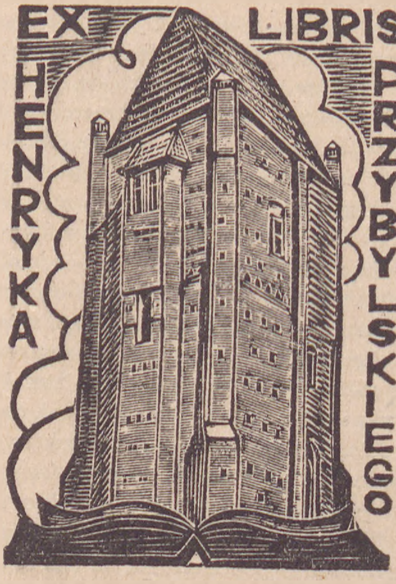
Broszurka, wydana pod powyższym tytułem, nakładem Księgarni Kamińskiego, daje w zwięzłym skrócie pogląd na dzieje Słowiańszczyzny. Autor przedstawił je na ogół poprawnie i jasno. Jakkolwiek rzecz ta nie jest rozprawą naukową i niewątpliwie nie ma tych ambicji pragnę zwrócić uwagę na niektóre drobne niedokładności, jakie się do niej zakradły. Powstały one zapewne z posługiwania się przez autora starszą literaturą przedmiotu. Ostatnia zaś praca Lehr-Spławińskiego (O pochodzeniu i praojczyźnie Słowian) doszła, jak się zdaje, autora już po napisaniu zarysu. Stąd jakkolwiek się na nią powołuje nie przetrawił jej gruntownie. O wykorzystaniu starszej literatury świadczą przede wszystkim niektóre mapy. I tak w świetle nowszych badań w III okresie brązowym śledzimy już na Pomorzu nie ślady cienkiego — jak zaznaczono na ryc. 3 — osadnictwa łużyckiego, ale teren np. Pomorza Zachodniego jest zwarcie przez nią opanowany. Podobne uwagi możnaby powiedzieć o mapie 4 oraz 5-tej. Tłumaczenie o uderzeniu Bastarnów i Skirów w lukę między plemiona kultury łużyckiej a germańskie jest mętnym wyjaśnieniem nie istniejącego w przeszłości zjawiska. Również niedowiedziony jest germański charakter Bastarnów, co do których wątpliwości wyraził również Spławiński. Na rycinie wreszcie 6-tej bezkrytycznie za Niederlem umieszczono — podobnie jak w tekście plemię Łuczan, których nazwy, wbrew temu, co pisze, w tym charakterze nie przekazał Nestor. Łuczanie — jak to w 1929 roku zauważył Jakimowicz — w rozumieniu Latopisa Wremiennych Lat oznaczają mieszkańców Łucka, a należeli do plemienia Wołynian.

Pomimo wymienionych niedokładności, których unikać by szczególnie należało w ujęciach popularnych, broszurka ta niewątpliwie jest cenym i pożytecznym wkładem do naszej literatury popularno-naukowej.

Dr Witold Hensel

SZAMOTULSKIE WYDAWNICTWA O POLSKICH GRAFIKACH

Kilka tygodni po wyzwoleniu grodu Halszki przybył do środowiska szamotulskiego Tadeusz Leszner, były prezes Polskiego Tow. Miłośników Grafiki Polskiej w Warszawie. Kierując przez cały okres okupacji podziemną akcją artystyczną w Warszawie, na terenie szamotulskim zbliżył się do grona osób, które w tym samym czasie kierowały pracą oświatowo-wychowawczą. Nie zastał już w tym gronie utalentowanego grafika Stanisława



K. Wiśniewski

Baszta Halszki w Szamotułach.

Zgaińskiego, który zginął 4. X. 1944 w obozie Gross Rosen. Po uporządkowaniu prac po śp. Zgaińskim, wydobyciu z ukrycia około 40 oryginalnych klocków, w maju ubiegłego roku powstał plan seryjnych wydawnictw bibliofilskich o grafikach polskich z lat wojny. Dzięki obywatelskiemu stanowisku Czesława Kawalera, właściciela drukarni w Szamotułach, który po Kuglinie z Poznania przejął rolę drukarza-artysty przystąpiono od razu do czynu. Dzisiaj możemy zanotować już osiem bibliofilskich druków, nieznanych szerszemu ogółowi:

1) 12 Ex-librisów Stanisława Zgaińskiego. Słowo wstępne Tadeusza Lesznera. Szamotuły 1939. Druk. Kawalera. (50 numer. egz.) Przedmowa wydrukowana w r. 1939 przechowała się przez okres okupacji, całość wykończono w r. 1945. Jest to bardzo piękne i bogate wydawnictwo oprawione w żółtą okładkę w formie dużego albumu. Ex-librisy zamieszczono na ciemnym albumowym kartonie. Całość — związana oryginalnie sznureczkiem — robi bardzo estetyczne wrażenie.

2) O Ex-librisach Stanisława Zgaińskiego. (Wstęp T. Lesznera). Szamotuły 1939. (50 numer. egz.). Tekst wydrukowany w r. 1939 przechował się, całość skompletowano i wykończono w r. 1945 u Kawalera. 6 odbitek z oryginalnych klocków (Ex-librisy dziecięce) zamieszczono na czerwonym albumowym kartonie. Str. 6, tabl. 6, 8⁰.



3) 6 Ex-librisów Stanisława Zgaińskiego. Uwagi wstępne Macieja Zwornickiego. Wronki—Szamotuły 1945 r. Druk Kawalera. (50 numer. egz.) form. A^5, str. 8, na 6 kartonach znajdują się odbitki z oryginalnych klocków ostatnich prac artysty, wykonanych podczas okupacji we Wronkach.

4) Tadeusz Leszner — Stanisław Zgaiński (1907 † 1944). Wspomnienie pośmiertne. Szamotuły 1945. Druk Kawalera. (50 numer. egz.). Foliał ze złoconym nadrukiem na ciemnej okładce. W tekście 5 orygin. drzeworytów. Na 10 str. opisany jest życiorys i cały dorobek artystyczny wielkiego syna ziemi czarnkowskiej.

5) Olgierd Nawłocki — O Ex-librisach Witolda Gawęckiego. Poznań 1946 r. Drukowane u Kawalera w Szamotułach. (50 numer. egz.) format A^5 str. 12. W tekście zamieszczone 2 oryginalne Ex-librisy dla T. Lesznera i H. Majkowskiego. Gawęcki należał do zakonspirowanego koła grafików polskich w Warszawie i z tego też czasu datuje się jego twórczość na polu Ex-librisu.

6) Tadeusz Leszner — Tadeusz Cieślewski syn (1895 † 1944). Wspomnienie pośmiertne. Poznań 1946. Druk Kawalera w Szamotułach, foliał 2 szpalt., 15 str. z portretem artysty i 2-ma orygin. odbitkami Ex-librisów. Wybito 100 numer. egz. W pracy tej autor wyjawił całą podziemną pracę grafików polskich w Warszawie w okresie okupacji i rolę jaką w tej zakonspirowanej grupie spełniał Tadeusz Cieślewski syn.

7) 10 Ex-librisów Kazimierza Wiszniewskiego. Wstęp T. Lesznera. Poznań—Szamotuły 1946 r. Tekstu 8 str., 10 orygin. odbitek Ex-librisów na zielonych kartonach. Format albumu 15×24 cm. Druk Kawalera w Szamotułach.

8) 5 Ex-librisów Henryka Gaczyńskiego. Słowo wstępne T. Lesznera. Warszawa — Szamotuły 1946. Tekstu 8 str., 5 orygin. odbitek Ex-librisów na karminowych kartonach. Format albumu 15×24 cm. Druk Kawalera w Szamotułach.

9) Tadeusz Leszner — „W pracowniach grafików i plastyków w latach wojny". Praca jest w druku u Kawalera w Szamotułach. Będzie to duża 8-ka o objętości 40 str. z ośmioma orygin. odbitkami drzeworytów Półtawskiego, Mrożewskiego i trzech innych.

W ostatniej pracy — podobnie jak w *pracy o Cieślewskim — Leszner ujawnia nieznane szerszemu ogółowi szczegóły* o „Kole Miłośników Ex-librisu i Grafiki", około którego zgrupowała się cała podziemna artystyczna Warszawa.

Druki szamotulskie świadczą nie tylko o wzmożeniu się życia regionalnego ale stanowią wielki dorobek w dziedzinie polskiego bibliofilstwa, utrwalając jednocześnie dorobek artystyczny podziemnej Warszawy.

O roli jaką spełniał wówczas Tadeusz Leszner, świadczy najdobitniej Ex-libris wykonany dla niego przez Witolda Gawęckiego, ofiarowany wymienionemu przez grono artystów i bibliofilów, jako wyraz uznania dla jego mecenatu nad grafiką polską w okresie okupacji.

H. Przybylski

„Pierwiosnek", czasopismo młodzieży Państwowego Liceum i Gimnazjum im. Gen. J. Wybickiego w Śremie — R. XIV, Nr 1, maj 1946 r.

Gimnazjum śremskie i jej młodzież ma już swój dorobek i tradycję rzetelnej pracy na polu pielęgnowania wiedzy o regionie i krzewienia niewerbalnej miłości ziemi ojczystej. Jak tradycje te są żywe i żywotne, o tym świadczy wznowienie w tak trudnych, jak dziś, warunkach „Pierwiosnka", rozpoczynającego pierwszym powojennym, bogatym (bo półtora arkusza obejmującym) numerem czternasty rok życia.

Zawarte w tym numerze prace uczniów i uczenic w części oparte są na lekturze wydawnictw naukowych i popularyzują w społeczeństwie uczniowskim i wśród starszych wiedzę o powiecie śremskim (np. Flora powiatu śremskiego, Zwyczaje wielkopostne w Wielkopolsce). Są one z niemałą korzyścią nie tylko dla młodocianych autorów, którzy docendo discunt, lecz również dla dorosłych, których uczą mocniej miłować, co ojczyste. Część prac, traktujących o sprawach kulturalnych i społecznych śremskich, jest zaprawianiem się młodych do czynnego współudziału w życiu i pracy kulturalnej społeczeństwa (Minął rok, Nowy typ ucznia, Oddajmy Bogu Jego przybytek, Życie kulturalne Śremu). Takie znaczenie mają i poezje, których tematyka nosi charakter patriotyczny i społeczny. Reszta prac — i ta jest szczególnie cenna — to oryginalne prace,

rozszerzające naszą wiedzę o regionie, to drobne, lecz prawdziwie cenne cegiełki do wielkiego gmachu, jakim jest nauka. Do tego rodzaju prac zaliczyć należy artykuły: „Śrem w latach 1939-1945“ oraz „Uczniowie podczas okupacji“. Ten ostatni przynosi ciekawą tabelę, ilustrującą losy i przeżycia uczniów, tabelę, opracowaną na podstawie wyników ankiety, rozpisanej wśród uczniów. Mamy nadzieję, że następne numery przyniosą nam dalsze szczegółowsze wyniki badań nad niedawno minioną, a godną utrwalenia przeszłością Śremu, ziemi śremskiej i jej mieszkańców. Możliwości tu są ogromne.

Z głęboką satysfakcją stwierdzamy, iż wśród młodocianych autorów wyrastają nam koledzy, którzy wkrótce wspierać, a później zastępować nas będą w pracy utrzymywania świętego zniczu miłości ojczyzny. Stwierdzamy, że rozumiemy się, my starsi i wy młodsi; że jesteśmy jednej krwi, jednego ducha i te same w nas umiłowania i tęsknoty. Młodzież śremska wybrała drogę, po której idąc — ku przykładowi młodzieży innych miast polskich — znajdzie nie tylko korzyść, lecz także szczytne zadowolenie dla siebie, a społeczeństwu i nauce odda wielkie usługi. Młodym współpracownikom śremskim „Szczęść Boże!“. Społeczeństwu śremskiemu radzimy rozczytywać się w „Pierwiosnku“, a pierwszeństwo w zakupach dawać ogłaszającym się w „Pierwiosnku“ przemysłowcom i kupcom śremskim.

Dr W. Ostrowski

KRONIKA

Z WIELKOPOLSKI

Literatura herpetologiczna dotycząca terytorium Wielkopolski jest tak skąpa i fragmentaryczna, że nawet drobne notatki mają pewną wartość dla badaczy-fizjografów. Dlatego też uważam za stosowne dorzucić nieco szczegółów do interesującego artykułu p. B. Maske — „Z życia naszych gadów krajowych“, zamieszczonego w n-rze 3 „Przeglądu Wielkopolskiego“. Omawiając jaszczurki wspomina autor o pięknej odmianie padalca — padalcu turkusowym (Anguis fragilis var. incerta Krynicki), nie podając jednak ściślejszych danych o występowaniu tej odmiany na terenie Wielkopolski. Według I. A. Baygera (Klucz do oznaczania płazów i gadów, Kraków 1937) padalec turkusowy występuje najliczniej w Polsce południowo - wschodniej, dość często w województwach środkowych i krakowskim, natomiast na zachodzie i północy Polski należy do rzadkości. Opierając się na dostępnej mi literaturze, stwierdzić muszę, że tak w starszych jak i w nowszych pracach brak wiadomości o występowaniu tej odmiany nad Wełną w pobliżu Obornik, gdzie w r. 1939 w czasie wycieczki przyrodniczej, zorganizowanej przez Zakład Zoologii U. P., znalazłem martwy, lecz dobrze zachowany okaz padalca turkusowego.

Ze względu na rzadkość i znaczenie tej odmiany dla zoogeografii, uważam za wskazane podać charakterystyczne cechy — ubarwienie ciała brunatne lub srebrzyste z szeregiem turkusowych plamek na grzbiecie i z widocznymi zwykle drobniutkimi otworkami usznymi.

Uzupełnień wymaga również artykuł W. Skuratowicza — Nowy gatunek ssaka w faunie Wielkopolski. (Przegląd Wielkopolski nr 2.). Zgodnie z przypuszczeniami autora piżmak rozszerza szybko granicę swego areału, i jak okazuje się, jest pospolity nie tylko w województwie poznań-

skim (Pniewy), ale nie brak go nawet na terenie Poznania. W zbiorach posiadam okaz zebrany na początku kwietnia br. w śródmieściu przez dr. A. Wróblewskiego, oraz drugi złowiony w maju nad Bogdanką w pobliżu parku sołackiego.

W. S.



Z WĄGROWCA

Miasto ks. Jakuba Wujka, pięknie położone wśród rzek, jezior i lasów, przeszło różne koleje w latach 1939-45. We wrześniu 1939 r. spłonęła część ul. Szerokiej i Klasztornej (dziś jest to pusty, trawą zarosły plac). Bomba niemiecka zburzyła wtedy również nasz ratusz, grzebiąc w nim burmistrza śp. Wachowiaka i kilku pracowników.

Okupanci zmienili nazwę miasta na Eichenbrück, wysiedlili wiele ludności, osadzając swoich tzw. Baltendeutschów, oraz zeszpecili wygląd niektórych ulic przez budowę szablonowych domów czynszowych. Opuszczając miasto 22 stycznia 1945, podpalii stary klasztor pocysterski z XIV w., w którym mieli składnicę sanitarną. Dziś, jako świadectwo germańskiego wandalizmu, sterczą nad miastem opalone mury wielkiego kościoła i klasztoru. Ogień strawił m. i. i piękne stalle, ambonę, stare organy i zabytkową rzeźbę (Pieta) z XV wieku.

Po wojnie wróciło wszystko powoli do mniej więcej normalnego stanu. Pracuje już i rozwija się przemysł (kilka młynów, tartaki, fabryka przetworów żywnościowych „Lubań—Wronki"), rzemiosło i handel. Ostatni spis ludności wykazał ponad 10 000 mieszkańców. Ruszyło też życie kulturalno-społeczne. W okresie zimowym działał Uniwersytet Powszechny, nadal pracują kursy dla dorosłych i Biblioteka powiatowa (ponad 3 tys. tomów). Zbiórka na rzecz Oświaty w dniach 1—3 maja dała z całego powiatu 240 tys. zł i 500 książek, z czego na miasto Wągrowiec przypada 45 tys. zł. 9 maja otwarto Dom Społeczny, w którym mieści się biblioteka i salka do zebrań i wykładów. W Domu Społecznym odbywać się będą tzw. „piątki literackie". W pracy kulturalnej pomagają czynnie tut. szkoły średnie, tj. Państwowe Liceum Humanistyczne i Państw. Liceum Pedagogiczne. Niedawno reaktywowano działalność Koła Śpiewackiego, które istnieje już 55 lat. W życiu politycznym i społecznym widać na naszym terenie dużą harmonię i zgodną pracę, obserwuje się jednak zjawisko, dość typowe dla mniejszych środowisk, że praca społeczna spoczywa na barkach kilkunastu jednostek. Łatwiej o konsumentów lub biernych obserwatorów, niż o czynnych pracowników.

W powiecie ocalało z wojny kilka zabytków historycznych, np. drewniany kościół w Tarnowie Pałuckim, zamek w Gołańczy, kościół w Łeknie, kościół w Czeszewie z grobowcem Karola Libelta etc.

N.



ZE ŚREMU

W miesiącach maju i czerwcu można było zauważyć znaczne ożywienie życia społecznego i kulturalnego.

Kółko społeczno-kulturalne uczniów miejscowego Liceum i Gimnazjum wydało pierwszy po wojnie numer swego czasopisma „Pierwiosnek". Przed wojną ukazało się jego czternaście roczników. Autorzy artykułów są dzisiaj na poważnych stanowiskach społecznych i politycznych, a więc redaktorami dzienników, posłami do Krajowej Rady Narodowej itp. Ma więc „Pierwiosnek" za sobą tradycję poważnych piór. Treść artykułów tego powojennego numeru obraca się dokoła tematów wojennych, powojennych i ideologicznych. Nie brak również prób poezji, z której na uwagę zasługuje wiersz poświęcony bohaterom z Westerplatte.

Trzeci z kolei koncert szkolny, w którym wzięły udział prof. Robińska jako pianistka

i Tilgnerowa-Zakrzewska, jako śpiewaczka, poświęcony był muzyce słowiańskiej, szczególnie rosyjskiej i polskiej. W programie były utwory Rubinsteina, Czajkowskiego, Rachmaninowa, Chopina, Niewiadomskiego i Nowowiejskiego. Trzeba zaznaczyć, że do słuchania muzyki fortepianowej młodzież jeszcze nie jest dostatecznie przygotowana i dlatego nie słucha jej ani z należytym skupieniem, ani z należytą korzyścią.

W maju przyjechał wreszcie do naszego miasta już od zimy zapowiadany poznański klub literacki „Kukułka". Ponieważ klub ten ma już swą urobioną opinię zarówno w Poznaniu, jak i na prowincji i na ziemiach odzyskanych, dlatego zbytecznym byłoby zaznaczyć, że i program i poziom zapewnił mu powodzenie i frekwencję, tym bardziej, że osoba jednego z filarów „Kukułki" — Laurentowski znany jest naszej publiczności jeszcze z czasów swego pobytu w gimnazjum śremskim.

Jedna z najpoważniejszych organizacyj społecznych, jaką jest P. Z. Z. odbyła swe doroczne walne zebranie, na którym poza sprawozdaniem ustępującego zarządu, wygłosił ob. mec. Ekner referat o naszych uzasadnionych prawach do ziem zachodnich, popierając swe wywody dowodami historycznymi, językowymi i etnograficznymi. W skład nowo wybranego zarządu weszli: Ekner — prezes, Szczepski — wiceprezes, Josse — sekretarz, Andrzejczak — skarbnik, przewodniczącymi sekcyj zostali: Pankowski — bibliotecznej, Kujawski L. — propagandowej, Kujawski M. — antyniemieckiej.

Z ramienia Kuratorium Okręgu Szkolnego Poznańskiego odbyła się przy udziale nacz. Wydziału Oświaty Dorosłych ob. Chorążego powiatowa konferencja oświatowo-społeczna, w której wzięli udział poza insp. Ziętkiem i podinsp. Perlińskim instruktorzy oświaty dorosłych z całego powiatu oraz przedstawiciele władz, partyj i organizacyj społecznych. Referat na temat „Praca kulturalno-oświatowa na terenie naszego miasta i powiatu" wygłosił kierownik uniw. powsz. mgr Jan Horowski. Następnie zdawali sprawozdanie ze swej działalności wszyscy instruktorzy. Po sprawozdaniach nastąpiła dyskusja. Na szczególną uwagę zasługuje obszerne ujęcie zagadnienia kształcenia dorosłych w skali okręgu, jakie przedstawił zebranym nacz. Chorąży.

Wzorem innych miast udało się wreszcie i w naszym mieście zorganizować wieczór pieśni ku czci śp. Feliksa Nowowiejskiego. Słowo wstępne wygłosił ks. pref. Mniejżyński a referat o życiu i działalności Nowowiejskiego ob. Śniedziewski. Dwa chóry: świecki i kościelny wykonały kilka pieśni zmarłego kompozytora.

Miejscowe Stowarzyszenie Miłośników Fotografii urządziło wystawę artystycznej fotografii znanych fotoamatorów poznańskich. Wystawa obejmowała przeszło sto eksponatów i trwała tydzień. Zwiedziło ją około sto osób. Stowarzyszenie wyświetliło również dla swych członków i sympatyków film wąskotaśmowy, nakręcony przez członków sekcji kinematograficznej koła poznańskiego na pogrzebie Nowowiejskiego.

Dowodem, jak bardzo publiczność prowincji pragnie dobrego teatru, nie zadowalając się ani miejscowymi przedstawieniami amatorskimi, choć i one mają swoje znaczenie, ani występami zespołów przyjezdnych, z których niektóre stoją na bardzo niskim poziomie, było szereg zbiorowych wyjazdów różnych organizacyj do teatru do Poznania. W pewną niedzielę wyjechały aż cztery różne grupy. Śrem bardzo cierpi na tym, że nie posiada tak dogodnego dojazdu koleją do Poznania, by można w jednym dniu jechać, być w teatrze i wrócić. Żyjemy przecież w czasach, w których teatr już nie jest uważany za luksus dla człowieka pracy! J. H.

PRACE OGŁOSZONE
w numerach I—V „Przeglądu Wielkopolskiego“ rocznika 1946

Dr Florian Barciński: O przebudowę struktury gospodarczej Wielkopolski.

Dr Jan Baumgart: Ludwik Posadzy.

Dr Ludwik Jaxa-Bykowski: Młodzież szkolna Wielkopolski i Pomorza w świetle badań eksperymentalnych.

Dr Mieczysław Jabczyński: Bernard Chrzanowski.

Dr Józef Kostrzewski: Co sądzić należy o rzekomych prehistorycznych prawach niemieckich do ziem polskich?

Dr Józef Kostrzewski: Tło prehistoryczne „Starej Baśni“ J. I. Kraszewskiego.

Dr Gerard Łabuda: Źródła niemocy polskiej na kresach zachodnich.

Hilary Majkowski: Feliks Nowowiejski.

Brunon Maske: Z życia naszych gadów krajowych.

Dr Jerzy Młodziejowski: Wacław z Szamotuł a doba obecna.

Dr Stanisław Pigoń: Znad Gopła na Górę Lubiń.

Henryk Przybylski: Grzegorza z Szamotuł pierwsza regionalna fundacja stypendialna w Polsce.

Dr Wiesław Rakowski: O hodowli karpi i linów.

Dr Adam Skałkowski: Śp. Bronisław Dembiński.

Dr Adam Skałkowski: Kościuszko a Wielkopolanie.

Dr Adam Skałkowski: Legenda i prawda o Kilińskim.

Dr Adam Skałkowski: Wspomnienie o archiwach Wielopolskich.

Mgr Wacław Skuratowicz: Nowy gatunek ssaka w faunie Wielkopolski.

Dr Kazimierz Tymieniecki: Z ostatnich dni Prof. Stanisława Pawłowskiego.

Dr Adam Wiegner: Wspomnienie o Prof. Michale Sobeskim.

W najbliższym numerze (lipcowym)

Dra Witolda Hensla: Potrzeba przygotowania wielkiej rocznicy.

Doc. Dra Kapitańczyka: Początki nauczania chemii w Wielkopolsce.